

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 3 WRZEŚNIA 1927 ROKU

NR 36

TREŚĆ NUMERU: Abolicjonizm—*Dr. Herminja Naglerowa*. Przymus obyczajności powszechnej—*M. H. Szpyrkówna*. Królowa Marja rumuńska — *N. J.* Wiersze: „Nurek”, „Posiłek”, „Botanika” — *Z. Łotocki*. Ucieczka — *Felicja Kruszevska*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Kobiety alpinistkami — *R. C. H.* Rozrywki i zdrowotne półkolonie letnie dla dzieci w Warszawie—*Ga.* Kobieta w świecie i w domu — *R. C. H.* Z teatrów—*S. P. O.* Szkolnictwo artystyczno - przemysłowe — *Marja Zawadzka*. Pszczoły (c. d.)—*W. D.* Utrzymanie mieszkania w porządku. Zapasy w gospodarstwie miejskiem—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Rękawy — *Well*. Dla pań w odmiennym stanie. Dodatek powieściowy: „Poławiacz dusz” — *Douglas Goldring* autoryzowany przekład *Haliny Gromadzkiej*. Arkusz wzorów.

ABOLICJONIZM

Nakładem Polskiego Komitetu Walki z handlem kobietami i dziećmi wyszła książka d-ra Józefa Macki p. t. „Prostytucja”. Pokażny tom o 464 stronicach, poprzedzony wstępem byłego ministra zdrowia d-ra W. Chodźki, przynosi nietylko obszerny materiał, dotyczący walki z prostytutką i handlem żywym towarem, ale ujmuje w sposób konkretny sprawę abolicjonizmu, tej jedynie racjonalnej i jedynie sprawiedliwej metody, która mogłaby zniweczyć hańbę ludzkości, przekazaną tradycją wieków.

Książkę d-ra Macki powinien poznać każdy dorosły człowiek obojga płci, gdyż właśnie te suche fakty i cyfry, te paragrafy ustaw przeróżnych państw, a wreszcie owe chwalebne usiłowania jednostek, związków i komitetów—mogą najlepiej ujawnić całą ohydę tolerancji, jaką oficjalnie otacza się prostytutkę, mogą przede wszystkim wskazać na niebezpieczeństwo, grożące zdegenerowaniem i zagładą ludzkości.

Poruszamy ten „drażliwy” temat z całą świadomością jego ważności. Nie wolno już dziś uważać tej kwestji za coś takiego, „o czym się nie mówi”. Obludna wstydlivość i powszechne, zakłamanie milczenie ponoszą przecież poniekąd odpowiedzialność za to, że oblicze cywilizacji i kultury naznaczone jest najwstrętniejszym piętnem, że piękno życia—miłość—zostało splugawione cynizmem zbrodni.

Szczególnie nam, kobietom, nie wolno zamykać oczu na to, co tak nieubłaganie wciska się do naszych domów, co grozi bezkarnie naszemu i naszych dzieci zdrowiu, co, wreszcie, od wieków poniża naszą godność.

Znając zło, milczaliśmy dotąd, zastraszone nakazem „wyższej władzy”, która, zbrukana kupną miłością, domagała się od nas komedianctwa — niewiedzy. Lecz, aby walczyć ze złem, nie wystarczy jeszcze wiedzieć o jego istnieniu, nie wystarczy nawet poznać jego istoty. Na cóż zda się liczman oburzenia? Będzie takim samym grzechem, jak świętoszkowskie odwracanie głowy, czy bierne, a nikomu nieprzydatne, cierpienie. O prostytutce i handlu żywym towarem należy więc dziś nietylko głośno, dobitnie i śmiało mówić — trzeba temu złu energicznie przeciwdziałać.

Zdaję sobie sprawę, że w krótkim artykule nie potrafię wyczerpać całokształtu zagadnienia, które, niczem rak, rozlicznymi odnogami wżera się w organizm społeczeństw. Prostytucja bowiem zbudowana jest na wielorakich objawach społecznych i fizjologicznych. Jednak w skrócie można powiedzieć, że walka, jaką wytoczono prostytutce, opiera się na dwóch zasadniczych racjach. Są niemi: 1) bezwzględna konieczność tępienia niebezpiecznej zarazy, jaką są choroby weneryczne i 2) położenie kresu ohydzie, jaką jest kupczenie ciałem kobiety.

Od drugiej połowy XIX w. rozwinęła się znakomicie sprawa opieki sanitarnej, mającej na celu zorganizowaną i systematyczną walkę z epidemjami. Ciągły postęp w tej dziedzinie jest już faktem udowodnionym, skoro nawet podczas wojny światowej epidemie były szybko i sprawnie zwalczane. Niestety, jednak, zarazy wenerycznej nie zdołano dotąd opłamać. Przeciwnie, statystyka wykazuje stały wzrost

tych groźnych chorób. A dzieje się to dlatego, że ogniska zarazy — prostytucji — nie umiano i nie chciało usunąć.

Nie pomogły na to żadne środki, ani nawet surowa reglamentacja,*) owa iluzoryczna, jak się okazało, kontrola nad prostytutkami, gdyż logicznym błędem w przesłance, która zrodziła pomysł reglamentacji, jest jednostronność. Obowiązkowej kontroli poddaje się bowiem tylko kobiety, zajmujące się zawodowo prostytucją, gdy, natomiast, zapewnia się całkowitą swobodę partnerom tych kobiet, którzy przecież w jednakiej mierze są rozsadnikami chorób wenerycznych. Karygodność postępowania mężczyzny jest nawet większa, skoro mężczyzna świadomie przeszczepia zarazę do własnego ogniska domowego, unieszczęśliwiając niewinną żonę i swoje potomstwo.

Argumentacja przeciwników reglamentacji wykazuje dowodnie, że tą drogą nie zwalczy się nigdy epidemii chorób wenerycznych. Stwarza się natomiast dziwoląg etyczny: — osławioną podwójną moralność mężczyzny; stwarza dwojaką miarę sprawiedliwości, zapewniającą bezkarność i swobodę mężczyźnie, nie wątpliwie współwinnemu przestępcy.

Abolicjonizm,**) którego inicjatorką była angielska, Józefina Butler, potępia reglamentację i jest tem samem jakby dalszym ciągiem walki ludzkości z niewolnictwem człowieka. Zasada: „człowiek człowiekowi nie może być narzędziem“ stała się przykazaniem abolicjonizmu, który, wysuwając ponadto oczywiste argumenty, wykazujące, że reglamentacja nie przyczynia się do zwalczania chorób wenerycznych, — podjął się również walki o stanowisko społeczne kobiety.

Bo zastanówmy się tylko: z jednej strony — wspomniały reformatorski ruch kobiecy, uwieńczony już rezultatem — równouprawnienia, a tuż obok — najohydniejszy handel kobietą, najgłębsze jej poniżenie cielesne i moralne. Pomyślcie: — setki tysięcy kobiet, wyzutych z człowieczeństwa, poddanych wyjątkowym prawom i przepisom, setki tysięcy kobiet-towarów! Berlin ma 50,000 prostytutek, Paryż — 70,000, Londyn — 60,000, Warszawa — 20,000. Straszliwe cyfry!

Ale jeszcze straszliwszym jest fakt, że istnieją ludzie, którzy bronią oficjalnej prostytucji i uznają racjonalność domów publicznych, do których dostarcza się żywego towaru!

Abolicjonizm, jak każda idea reformatorska, musi więc staczać zawzięte spory, zanim wreszcie przyjmie się słuszna zasada, że nie należy walczyć z prosty-

tutkami lecz z — prostytucją. Na szeregu konferencyj, organizowanych przez Federację abolicjonistyczną, ustalony został program, którego główne punkty dotyczą: zwalczania handlu żywym towarem, stręczycielstwa, domów publicznych, tajnych domów schadzek, oraz podjęcia walki z przyczynami i warunkami, sprzyjającymi prostytucji, jako środkowi zarobkowania. Niemniej też dąży Federacja do ugruntowania zasad jednej etyki i jednej sprawiedliwości wobec wszystkich ludzi.

— Jeżeli z prostytucją i jej skutkami mamy walczyć celowo — pisze dr. Macko — należy przyjąć następujące zasady:

1) Stworzyć ustawodawstwo do zwalczania chorób wenerycznych, któreby jednak nie było jednostronne, lecz obejmowało swą terapią wszystkie źródła zarazy.

2) Otoczyć opieką wychowania ochronnego dzieci i młodzież, moralnie zaniedbaną.

3) Oceniać indywidualnie objawy przestępczości u nieletnich.

4) Stworzyć dla nieletnich przestępców specjalne sądy i ustawodawstwo.

5) Ułatwić drogę powrotną do uczciwego życia,

6) Jednostki, nieuleczalnie chore fizycznie i psychicznie, izolować od reszty społeczeństwa.

7) Zorganizować zakłady wychowawczo-lecznicze.

8) Zwalczać u dzieci i młodzieży fałsz podwójnej moralności.

9) Ostrze walki z prostytucją należy zwrócić przeciwko handlowi żywym towarem, tajnym i publicznym domom rozpusty, stręczycielstwu i sutenerom.

10) Ustawę o włóczęgostwie i żebractwie stosować jednakowo do obu płci.

11) Zwalczać pornografię.

12) Walczyć z prostytucją, a nie z prostytutką.

Tak oto brzmią przykazania abolicjonistów, których programem szczególnie interesuje się Liga Narodów. Nie są to więc żadne utopje i mrzonki, lecz realnie pomyslane metody, które sięgają może w pierwszym rzędzie w dziedzinę wychowawczą. Trzeba bowiem młode pokolenie wychować już zawczasu w sprawiedliwych i etycznych zasadach. Słowo: prostytucja — powinno być wykreślone ze słownika, a sprzedajna miłość nie będzie tym „naturalnie“, a pobłażliwie traktowanym przywilejem, z którego wolno korzystać każdemu, płciowo dojrzewającemu młodzieńcowi. Anglja, Danja, Szwecja i Norwegja wprowadziły już u siebie abolicjonizm, a w Niemczech od października b. r. przejdzie się z reglamentacji na abolicjonizm. Nie należy więc wątpić, że i u nas dnie oficjalnie tolerowanej prostytucji są policzone. Świetna książka d-ra Macki przyczyni się w znacznej mierze do rewizji pojęć w tej, tak ważnej, sprawie społecznej.

Dr. Herminja Naglerowa.

*) Reglamentacja jest systemem „policyjnym“ i opiera się na rejestrowaniu prostytutek publicznych, na kontroli lekarskiej nad prostytutkami, czyli na tak zwanych „wizytach lekarskich“ rejestrowanych prostytutek, wreszcie na tolerowaniu domów publicznych i na jurysdykcji policyjnej.

***) Abolicjonizm walczy z prostytucją, a nie li tylko z prostytutkami i domaga się zrównania obu płci wobec prawa.

M. H. SZPYRKÓWNA

PRZYMUS OBYCZAJNOŚCI POWSZECHNEJ



ajczęstsze zdanie, jakie się daje słyszeć na temat wyjazdów letniskowych nad morze, brzmi mniej więcej tak:— po pensjonatach—drogo, a po izbach—brudno. Chyba, żeby u Niemców.

W związku z brakami organizacji na naszych letniskach i plażach—bardzo rażącymi wobec ościennych Czech i Niemiec—mimowoli przychodzi na myśl szersza odmiana tegoż zjawiska. Mianowicie, brak organizacji życia wogóle, zwłaszcza w t. zw. niższych klasach.

Dlaczego u naszych chłopów, lub drobnych właścicieli jest brudno, a w każdym razie — istnieją rażące braki w urzędzeniu życia pod względem ładu, wygody i ochędstwa?

Patryjotycznie zdaltonizowani ludzie twierdzą zawsze i z każdego powodu, że wszystkiemu są winni trzy zabory, nasze nieszczęśliwe warunki, a wreszcie obecny kryzys materialny. Uwzględnwszy wszystko, co w tem z prawdy być może, zostanie jednak jeszcze duża reszta. Najuboższe, ale usystematyzowane życie da się odróżnić od zwykłego niechlujstwa. Osobiście widziałam kawał świata i porównań mogę mieć dość dużo. I bezwzględnie uważam, że czas już zerwać z kozłem ofiarnym, na którego zwałamy wszystkie winy przeszłe i obecne: zabory. Zabory nikomu nie przeszkodziłyby myć się codziennie i kąpać się co czas jakiś, ani też wyczesywać dzieci i nie trzymać prosiąt w izbie. Przyczyna tkwi zupełnie gdzieindziej, jakkolwiek przyznać się do niej raczej jest niemiło. Jest ich nawet dwie: pierwsza — to, że nas ochędstwa i ładu poprostu nie nauczono, jeżeli mówić o narodzie, jako całości, o jego najszerszych ludowych warstwach; a druga — że, jakkolwiek o tem wiemy, dotąd u nas nie istnieje w tym względzie żaden przymus zgóry, co bodaj jest czynnikiem najszkodliwszym. Bo naród, zwłaszcza lud, stojący w niektórych swych cechach na stopniu prymitywnym, wymaga, jak dziecko, po pierwsze—pouczenia, a po drugie—egzekutywy, zdolnej to pouczenie wprowadzić w życie — gdyby nawet szło to opornie i potrzebowało środków przymusowych.

Narazie wydaje się to zabawne i nieomal niesmaczne. Środki przymusowe dla ludzi dorosłych, wolnych obywateli wolnej Polski! A jednak. Mało kto wie, naprzykład, że te, słynne z czystości, Niemcy swego czasu były równie dalekie od tego, jak... my dziś. I otóż stało się, że znalazł się desperat-minister, który zaryzykował, ponad obawą ośmieszenia się i szynkan — wprowadzić przymusową kąpiel. Wprowadził mianowicie—w szkołach. Dzieci musiały być kąpane

tyle a tyle razy tygodniowo. Za czystość dawano nagrody, za niechlujstwo karano. Cztery lata przymusowej łaźienki zrobiły swoje: dzieci ze szkół powszechnych nauczyły się być czyste — i brud w domu zaczął je razić. W swoich domach, jako dorośli, wprowadzili niepopularne dotąd łaźienki—i dziś Niemcy są wzorem czystości. Drobne, napozór, rzeczy łączą się w konsekwentny łańcuch: wykąpany czysto człowiek niechętnie włoży nieświeżą bieliznę. Człowiek, wykąpany i w świeżej bielinie, nie będzie chodził w niechlujnym i przetłuszczonem ubraniu. Porządne ubranie wymaga czystości w pokoju, czy izbie, boby się zniszczyło; a ktoś, kto ma czysto utrzymany dom, z konieczności i zewnętrzną stroną będzie ozdobił i podnosił estetycznie. W Poznańskim do niedawna gospodarz przymusowo musiał zasadzić przed domem ogródek, drzewa i kwiaty. I tak ślicznych róż, jakie pielęgnuje każda prawie chata poznańskiego chłopca, można długo szukać gdzieindziej. Był przymus na obsadzenie dróg drzewami aleje owocowe, przy szosie istnieją jeszcze do dziś, ale jakże znakomicie wyniszczone! Nikt nie każe naprawiać koniecznych szkód — i wprowadzony ongiś ład i porządek rozłazi się powoli z małej dziury w niezałataną już szczerbę ustroju społecznego. Poznańczycy to widzą i mówią o tem z niechęcią i pogardą dla naszych rządów—wolnomyślnych, czy lekkomyślnych? A najprędzej — bezmyślnych. Słysząc u nas zawsze w takich razach:—Tyle mamy ważniejszych rzeczy na głowie! Nieprawda! Brak tylko nam głów, albo te, które są, są nieodpowiednie. Ten sam wójt, czy ta sama gmina wykonać może zarządzenia, które budują, i takie, które burzą — a najchętniej zaś nie wykona wogóle żadnych zarządzeń, skoro ich nie dostanie: nikt nie jest bardziej katolicki, niż Rzym, i wójt nie będzie poprawiał ministrów.

A jednak z tych drobnych, niewidocznych narażenie cegiełek ładu i ochędstwa, buduje się życie państwa i jego pozór zewnętrzny — a jak cię widzą, tak cię piszą. Trzeba przełamać nareszcie opór niechlujnej tradycji w życiu ludu na korzyść postępu i higieny najostrzejszemi bodaj środkami przymusu. Dlaczego ciemny chłop rosyjski ma jednak co sobota swoją sakramentalną „banię“, a polska wieś nie ma łaźni? Dlaczego doński „dziki“ kozak mieszka w izbie o malowanych posadzkach i zawsze czterookiennej, z werandką i izbą gościnną, o której nasz chłop jeszcze nie marzy? Dlaczego fiński dorożkarz umie mieć czteropokojowe mieszkanie, wysłane linoleum w kuchni, a dywanem w salonie, gdzie pani dorożkarsza urządza w niedzielę kawę

dla sąsiadek? Dlaczego belgijczyk, szwed, francuz?... Stanowczo, zadużo składamy na zabory! Czas ostatni, czas najwyższy zabrać się do przymusowego wdrażania szerokich mas ciemnego ludu, ażeby stanął na poziomie pewnej, najkonieczniejszej dziś w świecie kultury, bodaj zewnętrznej, której brak razi i ośmiesza! Czy wiadomo jest sferom rządzącym, że polskich emigrantów kompanje okrętowe są zmuszone czasem zamykać w osobnym od innych pomieszczeniu, bo ci inni protestują przeciw ich niechlujstwu i nieobyczajności?

Czy nie wstyd? Czy długo jeszcze cudzoziemcy oficjalnie będą wypłacali polskie bankiety zdawkowymi ogólnikami, a prywatnie wysmiewali Polskę, jako

dziki kraj, gdzie toalety po dworcach i miejscach publicznych są przymusowo płatne, nieomal z procentem na bezrobotnych, ale znaleźć je można zato z łatwością bez napisów, nawet przy katarze? A nasze drugorzędne hotele! A zapowietrzone trzecie klasy w pociągach! A... cała olbrzymia, nieskanalizowana część Polski? Cuchnące rynsztoki przed oknami mieszkań, któremi wiekuiście płynie mętna i szara, jak życie wiekujących za okienkami ludzi, woda?... Beznadziejność urzędów, w których każdemu jest źle, ale które nikt nie zdoła sam zmienić, ulepszyć, ani zniszczyć?...

Sam! Ale w gromadzie — siłą. I o tem gruntownem odkażeniu Polski projekt w następnym numerze.

KRÓLOWA MARJA RUMUŃSKA

W przeciągu lat kilkunastu na tronie rumuńskim poraz drugi zasiada kobieta, na którą często zwraca się uwaga Europy.

Królowa Elżbieta, Carmen Sylva, — idealistka i romantyczka — odznaczyła się w literaturze. Królowa Marja, obecna współregentka, odgrywa rolę wybitną w polityce swego kraju, a oprócz tego znana jest i w świecie literackim, jako powieściopisarka.

Talent literacki królowej Marji należy bezsprzecznie do wybitnych. Ostatnia jej powieść „Głos z gór“ nie jest zwykłym romansiem o fabule erotycznej, lecz sięga najgłębszych zagadnień istoty bytu, duszy ludzkiej na tle duszy wszechświata. Powieść ta, głośna już dziś w całej Europie, została przetłumaczona na wszystkie języki cywilizowanego świata.

A jednak — pomimo niezaprzeczonych walorów pisarskich, — ważniejszą bez porównania jest działalność królowej Marji w polityce rumuńskiej i międzynarodowej.

Incydenty, które w roku zeszłym doprowadziły do zmiany następstwa tronu Rumunii, długa choroba króla Ferdynanda, obecna regencja wobec małoletności króla Michała, — wszystko to wysuwa na pierwszy plan działalność królowej, która już od szeregu lat, od chwili, gdy tylko stało się to dla niej możliwym, trwała u boku męża, nietylko jako przedstawicielka domu i rodziny, lecz jako współpracowniczka w najważniejszych zagadnieniach państwowych.

Zapytana kiedyś w Paryżu przez dziennikarzy, jaką zaletę uważa za najważniejszą dla monarchy, królowa Marja odpowiedziała: „Ponad wszystko potrzebna jest monarsze cierpliwość. Proszę spojrzeć na wielkie narody świata: czy do wielkości swej do-

szły wyłącznie przez odwagę? Nie, przez cierpliwość. Aby wznieść trwałe gmachy, potrzeba mocnej cegły cierpliwości. Tak powstała Anglja, pierwsza moja ojczyzna, zbudowana na silnych podstawach“.

Tą zasadą cierpliwości i wytrwałości rządziła się w życiu swem królowa Marja, a życie to składało się tak, że tylko dzięki tej zasadzie istnieć było można.

Bo nie po różach płynęły długie lata, najpiękniejsze lata królowej.

Wnuczka królowej Wiktorji angielskiej, siostrzenica największego monarchy dwudziestego wieku, Edwarda VII, — księżniczka Edynburska Marja przyszła na świat w hrabstwie Surrey, najbardziej malowniczej dzielnicy Anglji. Wzrastała w zdrowej, pięknej swobodzie, jak wszystkie dziewczęta angielskie, oddając się, po za nauką, z wielkiem zamiłowaniem wszelkim sportom. Jeździła konno, polowała. odbywała dalekie wycieczki w gronie rówieśników. Wszystko to skończyło się, jak sen młodości. Księżniczka Marja została żoną rumuńskiego następcy tronu. Przeniosła się na krańce Europy do małego, ponurego dworku, który zaciemniała jeszcze groźna postać króla Karola Hohenzollerna, nazwanego kiedyś słusznie „wartownikiem germańskim nad Dunajem“.

Teść zaciężył całą siłą swego despotyzmu na życiu młodej księżnej: otoczył ją szpiegostwem, zabronił wszelkiej swobody. Jedyłą pociechą młodej kobiety była miłość męża, który jednak sam był ofiarą dworskiego systemu, oraz serdeczna przyjaźń królowej Carmen Sylvy. Za jej to namową Marja zaczęła pisać bajki, opowiadane swej córeczce Ileanie: Carmen Sylva pierwsza odkryła talent literacki następczyni tronu i zachęciła ją do pracy.



Królowa rumuńska

W ostatnich latach życia króla Karola zaczęła już księżna następczyni wywierać pewien wpływ na opinię polityczną rządu. Kiedy w. ks. Mikołaj Mikołajewicz odbył w r. 1912 podróż do Bukaresztu, zdając z niej sprawę carowi, oznajmił, że księżna Marja stoi po stronie Anglii, równoważąc wpływy Jonescu, który razem z królem był stronnikiem Niemiec. 2 sierpnia 1914 r. na odbytej w stolicy wielkiej radzie koronnej, podczas której ten sam Jonescu, wracający z Anglii, oświadczył, iż Anglja przystąpi do wojny i poświęci wszystko, aby doprowadzić do zwycięstwa; Księżna Marja, obecna na naradach, rzekła — „Przepowiadałam to zawsze i twierdzę, że udział Anglii w tej wojnie rozstrzygnie losy narodów“.

W tym samym roku zmarł król Karol. Działalność młodej królowej rozwija się odtąd intensywnie. Dzieli ona z narodem wszystkie złe i dobre chwile. Gdy Rumunja przystępuje do koalicji, królowa woła: „Serce moje pełne jest radości!“ Staje na czele akcji społecznej i sanitarnej, pielęgnuje rannych, znosi mężnie klęski; zmuszona opuścić stolicę, chroni się do Jass. W tym czasie dosięga ją też najcięższy cios: śmierć syna. Nie poddaje się przygnębieniu. Daje na-

rodowi przykład hartu, odwagi i owej cierpliwości — oczekiwania na lepszą dolę.

Gdy, w chwili podpisania upokarzającego dla Rumunji traktatu bukareszteńskiego, w maju 1918 r., wysłannicy niemieccy przybyli do Jass, przyjęła ich z taką dumą, że butni zwycięzcy nie wiedzieli, jak mają się zachować.

W kilka miesięcy potem zwycięstwo koalicji przywróciło do życia Rumunję. Teraz rozpoczęła się pokojowa praca. W każdej politycznej akcji, w każdym układzie królowa brała udział, nie szczędząc sił i czasu dla swej drugiej ojczyzny. Wszyscy pamiętamy jej pobyt w Warszawie, gdzie wizyta pary rumuńskiej była początkiem zadzierzgnięcia ściślejszych węzłów Polski z Rumunją. W roku bieżącym królowa Marja odbyła podróż do Ameryki, wszędzie gorąco przyjmowana przez rząd i ludność.

Śmierć męża znów postawiła ją w sytuacji bardzo odpowiedzialnej i ciężkiej. Królowa zapomnieć musi o bólu własnym, poświęcić nawet uczucia macierzyńskie dla dobra narodu.

Przytoczę tu jeszcze kilka zdań królowej Marji, rodzaj jej wyznania wiary, wypowiedzianego do jednego z bliskich przyjaciół, wybitnego dyplomaty rumuńskiego, w ostatnich, tak niezmiernie ważnych dla monarchini, momentach:

„Życie moje było w ostatnim roku prawdziwie tragiczne. Zwątpiłabym o wszystkim, gdyby nie myśl, że istnieją na świecie rzeczy wielkie i tysiącokrotnie od losów pojedynczego człowieka ważniejsze. Nie żałuję niczego, choć tyle moich złudzeń umarło. Bez gorczy patrzę na przebyte blisko pół wieku mego życia. Bo dopiero z tej odległości mogę je trafnie ocenić. Widzę siebie młodą dziewczyną, pełną wiary i radości życia, i widzę, jak życie, przynosząc cierpienie, uczyło mnie właściwej wartości wszystkiego. Szczęście nie jest rzeczą konkretną, którą można posiadać i utrzymać. Nie ma ono żadnej barwy, ani kształtu; nie tworzą go żadne wydarzenia pomyślne: tworzy je tylko nasze uczucie wewnętrzne, nasz sposób przyjmowania wszystkiego, co nas w życiu spotyka. Wierzę głęboko, że wola wyższa opatrności kieruje naszym losem, że wszystko, co nas spotyka, jest dobre i celowe — starość nawet jest tylko logicznym rozwojem, naturalną drogą, prowadzącą nas do lepszego bytu. Nie jest to u mnie wcale bierna rezygnacja: przeciwnie, mam w naturze instynkt walki z przeciwnościami. Myślę jednak, że powinniśmy przyjmować spokojnie i cierpliwie to, co nam życie niesie, i, mając zawsze nadzieję lepszego jutra, dążyć wytrwale do wypełnienia naszych zadań i osiągnięcia naszych pragnień i zamiarów. W życiu każdego myślącego człowieka błyszczy światło, które prowadzi go wierne do kresu! — Tak rozumować i żyć w myśl tych zasad może tylko dusza szlachetna, połączona z wysokim umysłem. Są to bezsprzeczne, zadokumentowane czynem zalety Marji rumuńskiej.

N. J.

Z. Ł O T O C K I

NUREK

Woda, stalowa i zimna, przejmuję tajonym lękiem
 Ostro napływa do oczu dal nieskończona i sina
 — Wyprostowany, jak struna, rękoma celuję w błękit
 I całym sobą, jak nożem, szkliste powietrze rozcinam.

Wpadam w głębinę, jak strzała i do dna idę, jak kamień,
 Po skórze chłodnem doznaniem nagły osuwa się dygot
 Otwieram oczy i grzęznę w ciemno-zielony atrament:
 Wrócona morskim otchłaniom olbrzymia, milcząca ryba.

POSILEK

Pan Jezus usiadł przy studni, dobry, wioskowy Pan Jezus.
 Kładziemy przed Nim pachnące skiby czarnego chleba.
 Wznies słodką dłoń i błogostaw ten żytni chleb nasz, o Paniel
 Trzeba nam sił i ochoty do pracy na bożym łanie,
 I, jeśliś głodny jest, nie wzgardź chlebem, wyjętym z zanadza,
 Pragnienie Twoje ugasi woda, czerpana wiadrem.
 — Chętnie się z Tobą, o Panie, czarnym łamiemy dziś chlebem
 Tak, jak Ty z nami się kiedyś podzielisz królestwem nieba.

BOTANIKA

W soczystej, wysokiej trawie brzęczały małe chrabąszcze,
 Na grubych, mokrych łodygach chwiała się żółte kaczeńce,
 Żółto-zielone dziewanny—jak w botanicznej książce,
 Pieściły szorstkiem dotknięciem nasze rozgrzane ręce.

Miodem płynęły w powietrzu mięty, storczyki i szałwje
 Pachniały ciszą i zdrowiem białe, okrągłe rumianki,
 Sztynno sterczały do góry blado-różowe malwy
 — W pokojach było czem maic święte obrazy na ścianach.

A potem, w dnie coraz krótsze, malało i gasło słońce....
 Więc teraz, kiedy na dworze błoto i deszcz nieustanny,
 Siedzimy razem w pokoju i w botanicznej książce
 Szukamy szałwji, kaczeńca, mięty i żółtej dziewanny.



FELICJA KRUSZEWSKA

U C I E C Z K A



tały na wystawie chyba od tygodnia. Zaraz z prawej strony, tuż za szybą cieszyły oko matowym połyskiem doskonalej, miękkiej skóry. Patrząc na nie, odczuwało się niejako w kostce sprężysty chwyt prześlicznie rzeźbionego rzemyczka. Odrazu przywodziły

do ucha szum jedwabiu, opłyniętego smugą wykwintnego zapachu. Były właśnie takie. Były to pantofle, w których,—tak się zdawało Marynce,—można przejść, tańcząc, przez świat. Codziennie, wracając z biura, przystawała na chwilę przed sklepem, żeby uradować się ich pięknnością. Wtedy to mierzyła w myślach ogromny krok, który dzielił jej malutkie życie od zuchwałego szaleństwa. A szaleństwem do niedawna było mieć takie pantofle na własność, szaleństwem—zejść choć na chwilę z wążutkiej, przez cudze obszary wiodącej, ścieżki, szaleństwem było nawet być sobą. Ale teraz postanowiła Marynka pierwszy szaleńczy krok popełnić, (przyjść po nim miały inne, bardziej nieodwołalne i oszołomające), teraz, kiedy od paru dni ostrzyła w myśli nóż, żeby tamto całe swoje dotychczasowe życie od siebie odciąć.

Do swoich dwudziestu pięciu lat dorosła Marynka w cieniu rodzinnego domu, organicznie, zdawałoby się, z nim zespolona, pochłonięta przez ten dom prawie bez reszty. A dom to był niewielki i doszczętnie przez wojnę rozbity, ale właśnie, jako ocalały szczątek, dziwnie w sobie zwarty, całkowicie na świat zamknięty, pełen zapachów kuchennych (dwa pokoiki, wejście przez kuchnię) i lepkiej, szeroko rozlanej miłości, której się niepodobna było oprzeć. Miłość ta ogarniała już od progu, którego strzegły baczenie spłowiłe oczy matki, zamykała wszystkich i wszystko w jeden ciasny krąg: od fotografii, rozwieszonych na ścianach, aż po każdy żywy, naturalny ruch serca. Każdy najdrobniejszy przedmiot w tym domu był czczoną i chronioną pilnie pamiętką, nasiąkłą czyjś przerwanem życiem, czyjąś spłowiłą radością i własnem cierpieniem. A co najważniejsze, w tym zalewie miłości krzyżowały się płytkie, drobne, przeciwne sobie fale, nieraz samotne od nieporozumień i gorzkie od łez. I stało się tak, że Marynka stała właśnie pośrodku domu, pośrodku tych wszystkich fal i każda uderzała o jej pierś. Tak się już ułożyło, że musiała je na swoim sercu zbierać i ostrożnymi rękami kierować do wspólnego potoku. Własne jej niewielkie życie poszło na te usługi. Niedaleka myśl musiała krzątać się pracowicie dokoła szczęścia i pomyślności rodziny. Młodości swojej nie podniosła nigdy obu rękami nad głową, jak sztandar.

Uczyniła z niej wiotką chustkę, ażeby nią wyscierać wszystkie kąty, żeby każdemu sercu było jak najzaczisniej, żeby każdemu było w domu jak najcieplej. A jeśli wychodziła czasem na próg, tam gdzie się, według jej mniemania, zaczynał świat,—wciągały ją zaraz zpowrotem do wnętrza domu tysiące cienkich, mocnych nitek. Stało się zaś to wszystko bez jej udziału, bez najmniejszego wysiłku świadomej woli. Stało się tak poprostu dlatego, że nie potrafiła, aby było inaczej.

Aż do swojej dwudziestej piątej wiosny nie buntowała się nigdy Marynka przeciw tyranji tej miłości i przeciw tyranji własnej, tchórzliwej dobroci, Ale wszystko nagle rozpadło się na nic, odkąd wplątała się w tamtą inną, niespodziewaną, pożerającą i cudowną męską miłość. Spadła na nią była gwałtownie i nieoczekiwanie, jak marcowy ostry wiatr. I odrazu wymiotła z bolesnego i dostojnego środka domu na przestrzenie niewymierzonych dróg. Porwała ją za włosy brutalną, najcudowniejszą ręką i wlokła przez ogień i przez szczęście, aż zamierało z utraty tchu oszalałe z radości serce. Otworzył się nagle ciasny krąg i zamknął już za Marynką. Nie sposób było, wszedłszy do domu, powrócić na swoje miejsce. I stało się nagle tak, że drobne, domowe miłosne fale, nie dosięgające serca, oblewały tylko niecierpliwie stopy Marynki. Niepodobna zaś było w niczem owej nowej, królewskiej miłości z tamtą domową pogodzić.

Sprzysięgało się przeciw niej wszystko: Złorzeczyły jej martwe oczy fotografii, patrzących ze ścian; sądziły ją zgóry, nic o niej nie wiedząc, blade, niespokojne oczy matki; odpychał ją nieświadomie zwycięski uśmiech młodszej siostry, który zwolna stawał się kradzionym uśmiechem jej, Marynki. Podnosiła się przeciw niej coraz bardziej zachłanna pięść małego brata. Przeciw niej splątały się twarde listki i różowe kwiatki pelargonij — przeciw niej zmawiały się fajansowe kubki, porcelanowe figurki, wytarte dywany i ciężki, tłusty zapach kuchni. W zamkniętym domu Marynki nie było miejsca na szeroki, palący oddech tamtej przygody. Dla tej miłości trzeba było wszystko zacząć od nowa. Dlatego to Marynka wyostrzyła nóż i dziś właśnie miała uderzyć.

Wiosna była drapieżna, jak tygrys, chwytająca pazurami za gardło. Wiatr świstał między domami i rozkrwawiał wycalowane wargi. Na rogach, tam, gdzie się krzyżowały ulice, brakło prawie tchu. Na pachnącej, wilgotnej fali Marynka płynęła zwycięsko zwykłą, napozór, drogą. Czuła się jędrna, zwarta, twarda, radosna, jakby sprężona do skoku. (W wytartej

torebce ten jedyny, przerażający, do biura nadesłany list: przyjeźdź, przyjeźdź).

Prawie tańcząc, podeszła do znajomego sklepu, tego z pantoflami. Nie zatrzymując się przed wystawą, pchnęła drzwi i obojętnym (ach, jakimże zuchwałym!) głosem poprosiła o te pantofle z wystawy, albo koniecznie takie same pantofle. Z pewną miną, odrzuciwszy niedbałym skinieniem stopy codzienne spracowane chodaki, zanurzyła chrząstliwy czar nowych jedwabnych pończoch (włożyła je ukradkiem po wyjściu wszystkich w biurze) w przyjemny chłód białej, glansowanej ściółki. Pantofle leżały jak najlepiej. Marynka poczytała to sobie za dobrą wróżbę. Bez wahania, odrazu opanowując lekkie drżenie rąk, wyłożyła z torebki trzecią część miesięcznej pensji. A potem ruchem, którego już cofnąć niepodobna, wtargnęła znów w słoneczną ulicę, kołysząc radosną, najdroższą paczkę w ręce. I to był pierwszy krok na niepowrotnej drodze. Odtąd za sprawą tych pantofli, tej rzeczy nie do pomyslenia, tego zbytku, — małe skrzydła miały wyrosnąć u stóp Marynki, miały ją ponieść dalej i dalej od domu. I teraz, kiedy Marynka przyspieszała wciąż kroku, radując się miękkim powietrzem, szła zupełnie bez trwogi, żeby śmiałą ręką zadać ostateczny cios. Zgóry opancerzyła się była przeciw temu, co ją czeka. (Przypalony obiad, zaniepokojone oczy matki, zgłodniałe spojrzenie rodzeństwa). — Nie dam się, — powtarzała skrzypiącym, wilgotnym schodem. — Nie dam się. — Prędko otworzyła drzwi i stanęła, cała zaróżowiona i pachnąca od wiatru, na progu zamkniętego swego domu. Ach, nie dotarł tu zupełnie wiatr wiosenny! Zegar (po dziadku) nad haftowaną serwetką wybijał zwolna piątą. Dymiała grochówka na stole. Na oknie kwitły różowo pelargonje. Z kolorowych ramek spojrzwały na Marynkę oczy fotografij i spojrzwały na nią trzy pary żywych oczu: zaniepokojone — matki, gromiące — siostry i pytające — brata.

— Tak późno dziś, Marynko! Już mieliśmy siadać do stołu: dzieci były takie głodne.

(Dzieci! Ta uśmiechająca się przed siebie, obca pannica i ten, splatający na ceracie niecierpliwe zakleksane palce, uczniak, — dzieci, które od tak dawna stały się także jej dziećmi!)

Przez swój pancierz Marynka rzuca obojętne słowa: — no, to trzeba było jeść beze mnie. — A o pancierz stuka myśl: obiad — radosna chwila dla matki, kiedy może mieć ich wszystkich razem. Nitki. Nitki...

— Nie! — Myśli twardo Marynka i kładzie na bocznym stoliku radosną, pachnącą sklepem paczkę. Już biegną ku niej zaciekawione oczy brata, pilnie badając jej kształt. I znowu o jakąś łuskę pancierza zawa-

dzia małeńka niteczka: — Dziś pierwszy! Zapomniałam kupić ciastek! Ach, już dosyć! — myśli sobie Marynka i próbuje w myślach ostrości noża. Czy nie wyszczerbi się o tę zawiedzioną dziecinną radość?

— Czy przetrzymali was dłużej w biurze? — pyta matka.

— Nie, załatwiałam sprawunki — odpowiada Marynka i spogląda na rozradowaną twarz brata, żeby zgasić ten niepotrzebny, niepokojący uśmiech jednym zdaniem: — kupiłam sobie pantofle.

Teraz oczy siostry pędzą od talerza grochówki do jasnej plamy paczki. — Pantofle? Pokaż!

— Może pozwolisz mi najpierw zjeść spokojnie obiad? — mówi Marynka i odpycha nieproszoną, tłumaczącą się niejako myśl: Wanda ma jeszcze zupełnie dobre wiosenne pantofle. Wandzie takie pantofle nie są potrzebne...

Matka odsuwa talerz z niedojedzoną zupą. Matka już wie, że Jerzyk nie będzie miał ciastek, matka już wie, że skurcz zazdrości zdławi za parę minut serce Wandy, i wie także, że z Marynką dzieje się coś niedobrego. I rozbija milczenie proszącym, łagodnym tonem: — nie męczcie Marynki!

A Marynka odrywa natrętą cienką nić, — nić, która miała poruszyć skurczony mięsień jej dobroci.

Obrzydły, tłusty (na boczku) odór grochówki zasnuwa dymem tamte radosne słowa: — przyjeźdź przyjeźdź!

— Okropnie tu duszno, — mówi Marynka, — dlaczego mama nigdy okna nie otworzy?

— Okna?

— No tak, okna! Przecie niema czem oddychać.

— Wietrzyło się, jak cię kocham, tak wietrzyło się rano, ale powietrze jest jeszcze takie wilgotne. W nocy znowu łamało mnie w kościach. (Artretyzm, mdławy zapach lekarstwa z chloroformem, wcieranego w biedne, zwiotczałe ciało; szary włóczkowy szalik po babce. Tak, tak!)

Marynka wstaje, otwiera okno (na podwórze) i chwyta wprost w usta zabłąkany, krótki oddech pachnącego wiatru. Pancierz jej staje się znowu szczelny i stalowy.

Marynka z trudem przełyka baraninę i krzyczy w myślach wprost w twarz wyblakłym fotografjom, figurkom, serwetkom i pelargonjom: — nie! nie!

Jerzyk, pożarłszy z apetytem dwie porcje mięsa, stuka niecierpliwie piętami o nogę krzesła.

— Ach, Boże! Jerzyku, nie hałasuj! nigdy nie możesz siedzieć cicho... — mówi matka.

Okrągła twarz Jerzyka wydłuża się, zacina w urazie i samotności. Matka wzdycha.

(d. n.)



W. MIŁASZEWSKA

9

KACZĘTA

(powieść)

Staś podobno godzinami do celu strzela i bardzo się wprawił. Tamci dwaj chłopcy (jeden jest w realnej szkole w Warszawie, jeszcze nie skończył) to się także gwałtem do wojska wybierają, a ich ojciec powiada, że nic nie ma naprzeciw, byle tylko była ta Polska.

Jakoś na Stasine wychodzi, bo z Niemcami zaczyna być coś krucho. Myny mają bardzo butne i ludność gnębią po dawnemu, ale jakoś coraz śmielej gazety nasze przebakują o tem i owem, niby, że z końcem wojny, to na dwoje babka wróżyła.

Daj Boże, daj Boże! niech tych Niemców licho zabierze jaknajprędzej. Ja się tam polityką nie zajmuję, ale o tę Polskę przecież mi tak samo chodzi, jak każdemu z dobrych Polaków.

Tylko ten Staś...

Jak się wojna zaczęła, to Staś był zupełny smyk, do drugiej klasy chodził... Ktoby pomyślał wtedy, że on w wojsku służyć może, a jeszcze w polskim wojsku!

Tomek ma zupełnie inne usposobienie. Wcale się do żadnego wojska nigdy nie wybierał i cała wojna nie bardzo go zajmuje. Powiada, że to dla niego nie żadna nowina, bo od początku świata głupi ludzie bili się pomiędzy sobą, a inni, mądrzy, umieli z tego korzystać.

Tomasz pewno sam siebie w duchu do tych mądrych zalicza, którzy siedzą cicho i swoje robią, na nic się nie oglądając.

Już wiem, co to było z tą Łodzią, bo teraz sześć ogromnych pak nadeszło, a wszystko to w Teofila pokoju stoi. Nakupili po tanich cenach barchanu i kortu kilkadziesiąt całych sztuk. Teofil mówi, że już na tem dużo zarobił przez 2 miesiące, chociaż paki stoją, jak stały, i nikt o sprzedaniu ich ani myśli. Ja się na tem nie znam i mało co rozumiem, ale skoro Teofil to sam powiedział, to tak być musi.

Tomasz teraz bardzo się zrobił elegancki: Sprawił sobie dwa nowe ubrania, a lakierki z jasnym sukniem nosi na codzień. Jak do prania bieliznę liczę, to chociaż Tomkowe chustki znaków nie mają, zaraz je po zapachu poznaję.

Słyszałam, jak sąsiadki mówiły, że Tomek śliczny chłopak. Ja tam tego nie uważam. Twarz ma za szeroką i ramiona szerokie i cały jest taki krępy, choć nie powiem, żeby był niezgrabny. Staś od niego o dwa lata młodszy, a chyba o pół głowy go przerosł. Ale Stasia jeszcze w dzieciństwie nazywali „tyczką“.

Jedno, co, według mnie, ma Tomek ładnego, to usta: Nieduże, czerwone, a nad niemi małe wąsiki króciutko przystrzyżone, jak to teraz moda. Stasiowi, się pod nosem pojawia płowy jakiś puch. Ale Staś codzień się goli i powiada, że wąsów nie cierpi i nigdy nie będzie ich nosił.

Dawniej, za moich młodych lat, to mężczyzna bez wąsów był, jak bażant bez ogona. Pan Kazimierz długie, sumiaste wąsy nosił, podkręcał je do góry, a moje koleżanki zawsze się zachwycaly, że blond wąsy mogą być takie śliczne.

Mnie tam, coprawda, nie wąsami ujął za serce, tylko swoją wesołością. Już to humor miał pan Kazimierz okazowy!

Bywało, jesienią, na dworze straszna plucha, szaro, błotniście, wszyscy w domu powarzeni siedzą... aż tu zjawia się pan Kazimierz, i wszyscy od razu wesełsi, zupełnie, jakby słońca promień przez okno wpadł. A jak on umiał całe towarzystwo zabawić! Jakie on potrafił historyjki opowiadać, że wszyscy pokładali się ze śmiechu i tylko zgadnąć ani rusz nie mogli, czy to prawda, czy też zmyśnione wszystko...

W sekretarzu najdowcipniejsze zdania były jego, a potrafił i wierszami pisać, co wszyscy bardzo zawsze podziwiali.

Pamiętam, kiedyś w moje imieniny, jak byli goście, to pan Kazimierz całą mowę miał wierszem, a kończyło się tak:

Więc, panie i panowie,
Wzniesmy toast na zdrowie,
Bo to dziś imieniny
Naszej panny Justyny!

To pamiętam, że wszyscy w ręce klaskali z zachwytem, aż mi ktoś winem suknię oblał.

Wtedy mi było strasznie przyjemnie cały dzień, a najbardziej dlatego, że jak pan Kazimierz powiedział: „naszej panny Justyny“, to w oczy mi patrzył długo i tak, jakby tem spojrzeniem wiele innych rzeczy miał mi powiedzieć.

Miałam wówczas dwadzieścia pięć lat i wcale niezgorzej wtedy wyglądałam, chociaż już w rodzinie przebakiwano, że ja pewnie starą panną zostanę. We dwa lata później Antosia za Teofila poszła, a ja już wtedy dawno wszystkie swoje nadzieje oplakałam...

Stara panna... Ludzie kpili dawniej ze starych panien, jakby to był wstyd i ubliżenie zamąż nie wyjść; a ja przecież mogłabym męża mieć, niekoniecznie nawet pana Kazimierza.

Wpierw jeszcze, nim go poznałam, starał się o mnie jeden młody człowiek, majster ślusarski. Rodzina moja opornie nosem kręciła na tę ślusarkę, choć ja tam nie widzę dobrze, dlaczego. W kilka lat później rozszerzył zakład, potem się ożenił, a teraz dużą pracownię ma, jest znany w Warszawie, wszyscy go poważają i szanują.

Mnie się on wtedy nawet dosyć podobał i—kto wie? Możliwym nawet za niego poszła, tylko że akurat pana Kazimierza poznałam...

Później, jak się już wszystko z panem Kazimierzem skończyło, miałam jeszcze jednego starającego. Że już przeszłam trzydziestkę, wszyscy mię namawiali gorąco, nawet Antolka.

Jak się oświadczył, przyszedłam do Teofilów powiedzieć o tem.

— Ach! chwała Bogu!— zawołali oboje.— To już ci Bóg takiego człowieka zesłał!

A Teofil dorzucił:

— Ja już nawet przepytawałem się o niego: Uczciwy człowiek i zacny. Karjerę zrobisz, Justynko, choć on majątku nie ma.

Dopiero im powiedziałam, że mu odmówiłam. Dopiero wszyscy usta pootwierali, a potem na mnie:

— Taką partję odrzucić! Takiego człowieka! Cóżes ty najlepszego zrobiła, Justysiu?!

A Teofila siostra, Amelka, z przekąsem do mnie:

— Justysia chyba na jakiego królewicza czeka?

Wytłumaczyłam im, że wcale na żadnego królewicza nie czekam, tylko zamąż iść nie chcę i nie pójdę.

Wtedy mię, pamiętam, Antolka wzięła na stronę i powiada:

— Ja wiem— powiada— że ty swojego pana Kazimierza zapomnieć nie możesz, ale pomyśl, Justysiu! Tamto już przeszło, a druga taka partja ci się nie trafi. Przecie już lata masz, a pannie w latach, bez posagu, niełatwo męża znaleźć.

I nawet radziła mi, żebym za tego Stalewskiego wyszła, chociażbym nawet miłości do niego nie czuła wielkiej.

— Bo, widzisz, w małżeństwie miłość, to prawie najmniejsza rzecz. Ja sama znam takie małżeństwa, które się bez wielkiej miłości pobrały, a są szczęśliwe. W małżeństwie przychodzi przywiązanie, które z latami wzrasta i umacnia się. Przywiązanie pewniejsze jest i trwalsze, niż miłość, moja Justysiu. A jeszcze, jak są dzieci...

Tu, pamiętam, Antolka na Staśka, który spał w kolebce, z rozrzewnieniem spozjrzała, a potem

umilkła i zamyśliła się. To było niedługo przed urodzeniem Adelci i musiała Antolka o całej swojej trójce pomyśleć...

Tak mi głowę zakotłowali wówczas, że o mały włos nie zrobiłam głupstwa. Choć, kto wie? Ten Stalewski był bardzo zacnym człowiekiem i dotychczas dumna jestem, jak pomyślę, że taki człowiek o mnie się starał— i to bardzo, bardzo się starał.

Miał już wtedy koło czterdziestu lat i był nauczycielem w szkółce miejskiej. Poznałam go na wsi u Teofila siostry. Pan Stalewski na całe lato wtedy do Kopytowa przyjechał, Amelki synka do klas przygotowywać.

Tośmy nie jeden raz ze sobą rozmawiali, a zawsze bardzo poważnie. Pan Stalewski mi różne książki do czytania przynosił, a potem wypytywał, która mi się najlepiej podoba i dlaczego. To ja nieraz umyślnie mówiłam, że mi się coś nie podobało, bo pan Stalewski wtedy tak ślicznie tłumaczył, że nie mam racji, bo książka jest dobra, i napisał ją poeta, który kochał ojczyznę i piękno.

Ja bardzo lubiłam te rozmowy i później, to nawet żałowałam, że wszystko taki obrót wzięło, bo jakbym straciła przyjaciela.

Ale trudno. Nie mogłam się zdecydować, nie mogłam.

Wtedy, jak mię pan Stalewski ostatni raz o rękę prosił, w Warszawie, w pół roku potem, to się nawet przez chwilę sama wahałam, tak mówił serdecznie i prosto.

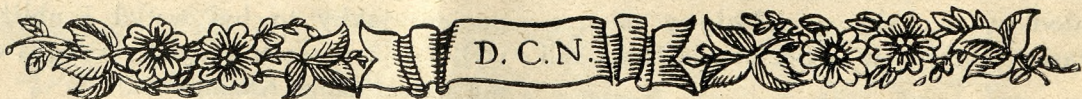
— Ja, panno Justyno, kocham panią i kochać nie przestanę, i pani o tem wiedzieć powinna, choćbym oddźwięku w pani sercu nie znalazł. Raz się tak w życiu kocha, a ja już nie jestem młodzikiem.

To już wtedy chciałam powiedzieć: „dobrze, zostanę pańską żoną“... Ale mi w oczach stanął pan Kazimierz ze swoją jasną czupryną, ze swoim pogodnym wyrazem, ze śmiejącymi oczami i— już Stalewskiemu odpowiedzieć nie mogłam inaczej, jak tylko, że go bardzo lubię i poważam, ale zamąż za niego, ani za nikogo nie pójdę.

Ja wiem, że pan Kazimierz nie był ani taki wykształcony, ani może nawet taki dobry, jak Stalewski. Bo to był bardzo dobry i zacny człowiek.

Jakśmy się rozstawali, to mi pan Stalewski raz jeszcze powtórzył, że mię kochać będzie do końca i nigdy nie zapomni.

Pewnie i nie zapomniiał. Pewnie i zostałam tą jego „największą“ miłością, bo wkrótce potem umarł na zapalenie płuc, w drodze do Czernihowa.



KOBIETY ALPINISTKAMI



Jednym z najdawniejszych i najszlachetniejszych sportów jest niewątpliwie wspinanie się po górach. Trzeba mieć tylko zdrowe serce, silne nogi i odrobinę hartu i odporności na zmęczenie, — ale jakże cudowną nagrodę gotuje nam natura, wzamian za tę trochę wysiłku i trudu, jaki sobie zadajemy, pnąc się po skalistych zrębach, nad drzemiącymi w słońcu kotlinami, mając u stóp pełne tajemniczego mroku przepaście, rozczochrane smreki i limby płaczące!

Wyzłoczone słońcem szczyty
już różowo w słońcu płoną,
i pogodnie lśnią błękitny
nad pogiętych skał koroną.

Wspinasz się pod górę krok za krokiem, wdychasz powietrze, pachnące cudniej, niż wszystkie wonności Arabji, pieści cię słońce, całuje wiatr... Wyżej, jeszcze wyżej!

Dzisiaj, szczególnie w zachodniej Europie, gdzie pod względem wyrobienia fizycznego płeć słabsza dostrzymuje placu swym braciom, kobiety coraz namiętniej zaczynają poświęcać się alpinizmowi.

U nas w Polsce taternictwo zaczyna być również jednym z ulubionych sportów, uprawianych przez kobiety, w daleko jednak mniejszym stopniu, niż na Zachodzie. Ciekawem jest w przeglądzie retrospektywnym zbadać, kiedy niewiasty zaczęły interesować się alpinizmem.

W starych annalach dopiero w wieku 17-tym znajdujemy pierwsze wzmianki o wyprawach kobiecych w góry.

Bodaj że pierwszą damą, zwiedzającą pieszo Pireneje, była la Grande Mademoiselle, znana z udziału we Frondzie Paryskiej, duchesse de Montpensier.

Znaną również jest wycieczka m-me de Sevigné na szczyt góry Tarare, wycieczka podobno tem niebezpieczna, że okolice górskie obfitowały naówczas w zbójców.

W wieku 18-ym słynna malarka Vigée le Brun jest niezmordowaną alpinistką, — przebiega Alpy i Jurę, wspina się na poprzeczną przełęcz Mont Blanc na szczyt Wunchensteinu, dwa razy dosięga samego stożka Wezuwjusza.

Tę ostatnią wycieczkę odbywa w towarzystwie swojej ukochanej córeczki, liczącej wówczas lat 12-cie. Mała jest przerażona trudnościami, napotykaniami po drodze, nie chcąc jednak niepokoić matki, ukrywa swój przestach i tylko raz poraz zapytuje ze łzami: „Mamusiu, czy mogę się bać?”

W 1807 królowa Hortensja, bawiąc na kuracji w Aix-les-Bains, odbywa wyprawę na szczyt góry „la Dent du Chat,” Wycieczka ma przebieg tragiczny, gdyż przy pewnem trudniejszym przejściu, w oczach królowej pada w przepaść ulubiona dama jej dworu, baronowa de Broc.

Kapryśnej cesarzowej Józefinie w r. 1810 zachciewa się obejrzeć słynne lodowce, „Mer de Glace.” Mobilizują 68 przewodników, cała karawana osłów i mułów dzwiga na grzbietach spiżarnię, wannę i przybory toaletowe pięknej monarchini. Józefina sprawuje się dzielnie po drodze, idzie przeważnie pieszo i chwali się, że nigdy jeszcze w życiu nie odczuwała równie szalonego apetytu.

Namiętną i doświadczoną alpinistką była również królowa włoska Małgorzata, małżonka króla Humberta II-go, która dwukrotnie wchodziła na szczyt Mont Blanc i Mont Rose.



Pierwszą kobietą, której w r. 1804 przypadł w udziale zaszczyt i sława dotarcia do samego wierzchołka królowej Alp, Mont Blanc, była prosta góralka Maria Paradis, zwana Paradisą.

Coprawda, śmiałą tę wycieczkę odbyła Paradis prawie mimowoli, gdyż dnia pewnego wybrała się na zwykły spacer w góry, w towarzystwie kilku znajomych chłopców, przewodników, którzy między sobą, dla żartu, założyli się, że uda się im doprowadzić silną dziewczynę na sam szczyt Mont Blanc. No i udało się.

Po powrocie z wycieczki Maria stała się sławną. Wszyscy turyści cisnęli się do niej, prosząc o opowiadanie im szczegółów wyprawy i obdarzając ją sutemi napiwkami. Wkrótce Paradis zebrała tyle pieniędzy, że mogła za nie kupić sobie oberżę.

W 30 lat później inna kobieta jest zdobywczynią królowej Alp. Henriette Angeville, licząca naówczas 44 wiosny, postanowiła wdrzeć się na szczyt Mont Blanc. Po długich przygotowaniach i odpowiednim treningu, dzielna kobieta, pomimo protestu swoich najbliższych, wybrała się na wycieczkę, w towarzystwie dwóch przewodników.

Po przewyciężeniu niesłychanych trudności, związanych z chłodem, głodem i bezsennością, uparta niewiasta, napół żywa ze zmęczenia, dotarła wreszcie do celu swych marzeń. Za to, gdy zeszła do Chamonix, cała okoliczna ludność, z merem na czele, wyległa na jej spotkanie, gotując niez mordowanej alpinistce owację, obsypując ją kwiatami.

Później, śladem Henriette d'Angeville, wiele kobiet docierało do szczytu Mont Blanc. W książce swojej p. t. „La Montagne à travers les ages” — John Grand-Carteret wylicza 71 podróżniczek, które odważyły się na to trudne przedsięwzięcie.

Słynną jest podobna wyprawa pani Joseph Vallot, mająca na celu założenie na szczycie Mont Blanc obserwatorium astronomicznego.

Jedną z najdzielniejszych kobiet-alpinistek jest amerykanka Fanny Bullock Workman, która pobila wszystkie niewieście rekordy, gdyż dwukrotnie przeszła Himalaje, docierając do 6.000 metrów wysokości.

Wiele śmiałych alpinistek przypłaciło życiem swoje zamiłowanie do zdobywania niebezpiecznych szczytów. Mimo to, nigdy jeszcze sport ten nie był z takim zamiłowaniem uprawiany przez kobiety, jak za naszych czasów. Klub Alpejski z roku na rok liczy coraz większą liczbę imion kobiecych.

Alpinizm posiada również swoją kronikę wesołą. W r. 1836 tym banda turystów, przebranych w dziwaczne kostjумы, wpadła z hałasem do Hotelu l'Union w Chamonix. W księdze podróźnych, przedłożonej im do wypełnienia, przybysze zapisali się, jak następuje: nazwiska: rodzina Piffoels; miejsce zamieszkania: natura; skąd przybywają: od Boga, dokąd dążą: do nieba; miejsce urodzenia: Europa; zajęcie: włóczęgi; daty dokumentów: zawsze; papiery wydane przez: opinię publiczną.

Poczem osobliwi goście rozpięchli się po wszystkich pokojach, które napełnili takim niebывałym krzykiem, śmiechem i hałasem, że gospodarz, w celu uspokojenia ich, był zmuszony posłać po policję.

W rezultacie żandarmom udało się stwierdzić imiona i nazwiska wesołych podróżników. Byli to: Georges Sand z córką Solange i synem Maurycym, Fryderyk Liszt, hrabina d'Agoult i znany kompozytor Herman Cohen.

R. C. H.





Śniadanie

ROZRYWKOWE I ZDROWOTNE PÓŁKOLONJE LETNIE DLA DZIECI W WARSZAWIE

Dla dzieci, które nie mogły wyjechać na lato z Warszawy, zorganizowano, podobnie, jak lat poprzednich, półkolonie letnie.

Nowością był jednak olbrzymi napływ dziatwy do półkolonij — nowością było, po drugie, stanowisko niedawno wybranego magistratu stolicy, który na cele organizowania i dożywiania dziatwy znalazł i ochotnie rzucił większe sumy.

Organizacyjne i wychowawcze kierownictwo półkolonij spoczywało w rękach Ligi Szkolnej Przeciwgruźliczej, która zdołała zmobilizować personel opiekuńczy i wystarać się o dostateczną ilość placów i boisk na krańcach miasta i poza miastem. Zarząd tramwajów warszawskich dostarczał codziennie po dwa wagony, które przewoziły dziatwę na dalsze wycieczki zamiejskie do Bielan, Wawra, Grochowa etc.

Liczba dzieci na półkolonjach dosięgła w połowie sierpnia 20.000.

Stosowano system, za pożyczony z harcerstwa, dzieląc dziatwę, według wieku, na drużyny i zastę-

py. Dzieci przebywały 3—6 godzin dziennie na świeżym powietrzu i pod nadzorem pedagogicznym odbywały ćwiczenia fizyczne, gry ruchowe, zabawy różnego rodzaju, w połączeniu ze śpiewami i tańcami. Każde dziecko otrzymywało pół litra mleka i bułkę 100-gramową po taniej cenie, lub bezpłatnie, zależnie od stanu zamożności rodziców.

Półkolonie były pod stałą opieką lekarzy. Dla silniejszych dzieci zorganizowano naukę wiosłowania i pływania na stawie w parku Skaryszewsktm i na Wiśle. Dla słabowitych urządzono półkolonie lecznicze, na których dzieci otrzymywały środki wzmacniające, kąpiele solankowe, intensywniejsze dożywianie.

Popisy, urządane przez dzieci z półkolonij, gromadziły zawsze — obok przedstawicieli władz miejskich, szkolnych i organizacyj społecznych — licznych widzów z najszerzych warstw rodziców i znajomych dzieci.

Wśród ludności Warszawy półkolonie zyskały sobie dobre imię, dzięki temu zwłaszcza, że odciąża-



Zabawa na świeżym powietrzu



Na plaży miejskiej

gnęły roje dziatwy z ulic. Dzieci nadzwyczaj chętnie garnęły się do półkolonij, gdzie czekała je wesola zabawa, dużo ruchu swobodnego i zastępy towarzysów. Atmosfera ta, sama przez się, urabiała wpływ moralny, przeciwstawiający się ordynarnym nawyczkom, i chroniący dziatwę od złego przykładu ulicy, jakiemu uległaby niechybnie, spędzając wakacje w murach miasta.

Ga.

Kobieta w świecie i w domu

O KSIĄŻECZKI DLA SŁUŻBY DOMOWEJ

Huguette Garnier w paryskim „le Journal“ porusza niezmiernie palącą sprawę, która i w Polsce nie przestaje być bolączką naszych gospodyń.

Chodzi tu o książeczki służbowe dla służby domowej.

Różnica pod tym względem między nami, a Francją, polega na tem, że w Polsce książeczki takie zostały niedawno skasowane, podczas gdy tam usiłują je dopiero wprowadzić.

Dlaczego służba domowa, nie mająca z racji swojego zawodu stałego miejsca zamieszkania, nie posiada książek pracy, tak jak francuscy robotnicy? Książeczki takie, zaopatrzone w fotografie właściciela, zawierające wszystkie kolejne świadectwa chlebowadawców i pozostające pod kontrolą władz miejskich, czy też związkowych, — spełniałyby daleko lepiej swoje zadanie, niż ulotne świadectwa, pisane na świstkach papieru, łatwe do sfałszowania, zgubienia, i które wreszcie przedstawia się tylko wtedy, gdy są korzystne dla okaziciela.

Te same argumenty możnaby zastosować, oczywiście, i do naszych stosunków, tembardziej, że przed wojną w Polsce, względnie w Warszawie, służbę domową obowiązywało posiadanie książek pracy i że wobec tego wiemy z doświadczenia, o ile mniej wówczas trafiało się służących-złodziejek, które przynosiły ujmę całemu zawodowi służących, niż dzieje się to dzisiaj.

Przy obowiązującym posiadaniu książek pracy, o wiele trudniej byłoby niepowołanym elementom zostawać członkami uczciwego związku służby domowej tylko po to, aby, pod pretekstem pracy, dostać się do zamożnego domu, który zostaje potem przez nie w podstępny sposób okradziony.

O ile przypominamy sobie, w Polsce książeczki służbowe skasowano za czasów t. zw. Republiki Lubelskiej, wychodząc z fałszywego założenia, że obrażają one, jakoby, godność osobistą służby domowej. Być może, że w ówczesnej organizacji kontroli służby znajdowały się pewne braki, jak np. osławione kantory „stręczeń”. Braki te należało raczej usunąć i do organizacji wprowadzić pewne ulepszenia, zgodne z duchem czasu, niż unicestwiać całą tę pożyteczną instytucję. Raz jeszcze okazuje się, że łatwiej jest niszczyć, niż budować. A możeby Związek służby domowej sam pomyślał o przywróceniu książeczek służbowych?

R. C. H.

NIEDAWNA MIDINETKA KUPUJE PAŁAC CESARZA SAHARY

Kilka dni temu w Antibes została sprzedana na licytacji wspaniała willa zmarłego „cesarza Sahary”, Lebaudy’ego.

Willa ta, położona cudownie nad samym morzem, posiada niezwykle piękną dekorację wnętrz, dokonaną przed laty przez najśłynniejszych artystów Francji.

Do licytacji stanęło kilku bogaczy amerykańskich i francuskich. Po ożywionej walce szczęśliwą nabywczynią przepyszną rezydencji została pani Beumont, żona amerykańskiego bankiera, która za kaprys swój zapłaciła okrągłą sumkę 22-ch milj. franków.

Z okazji owego kupna pisma paryskie przypominają, że pani Beumont, niegdyś Helena Thomas, była skromną sprzedawczynią w jednym z magazynów przy Regent-street w Londynie.

Pewnego dnia dyrektor owego magazynu usłyszał czyjś przesłiczny śpiew w pracowni. Oczarowany niezwykłą piękością głosu młodej, skromnej dziewczyny, dyrektor zajął się jej artystycznym wykształceniem, dając jej możność studjowania śpiewu u najlepszych profesorów londyńskich.

Po roku Helena Thomas debiutowała z niezwykłym powodzeniem w Aeolian Hall w Londynie, a w dwa lata później została żoną bogatego bankiera amerykańskiego, pana Beumont.

Zakochany milioner przywykł zaspokajać wszystkie życzenia swojej młodej żony, i oto niedawna midinetka z Regent-street została właścicielką jednej z najwspanialszych rezydencji w Europie.

R. C. H.

JAK POWSTAJE MODA

Naogól wzięwszy, moda jest wynikiem warunków historycznych, społecznych i ekonomicznych danej epoki, co najdobitniej wyraża się w naszych czasach, gdzie strój kobiety i jej obcięte włosy harmonizują z koniecznością pracy jej w biurze, z uprawianiem przez nią sportów i t. p.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że moda zawiera w sobie w znacznym stopniu element kapryśnej przypadkowości.

Owe kaprysy mody zawiązujemy przeważnie wielkim tego świata, którzy je wprowadzają dla pobudek osobistych.

Tak np. król francuski Henryk II, posiadał na karku szkaradną bliznę; pragnąc ją uczynić niewidoczną, zaczął nosić wysokie kołnierze. Moda ta natychmiast znalazła naśladowców i utrzymała się przez lat kilkadziesiąt.

Inny król francuski Karol VII, mający krzywe nogi, wprowadził modę długiego stroju, co, oczywiście, przyjęte zostało przez cały dwór.

Cesarzowa Eugenia, w swoim czasie słynna piękością i strojnisią, będąc w odmiennym stanie, a pragnąc ukryć zmiany w figurze, wpadła na pomysł noszenia krynoliny. Dziwaczna ta i wysoce nieestetyczna moda stała się celem niezliczonych drwin i żartów. Znanem np. było „bon mot” ówczesnego publicyście Toussenela: Kobieta zaczyna zajmować dużo miejsca w świecie, czego dowodem jest jej sposób ubierania się.

„Porządna”, prawdziwa krynolina miała wdole 5 metrów obwodu; żadna kobieta, w nią ubrana, nie mieściła się we drzwi, jeśli nie były otwarte na oścież. A jednak, mimo wszystko, moda ta zdołała się utrzymać przez lat kilkanaście!

Zabawnym przykładem ślepego i bezmyślnego naśladownictwa osób koronowanych są dwa następujące fakty:

Królowej angielskiej, żonie Edwarda VII, zrobił się kiedyś wrzód pod pachą, i monarchini, dla uniknięcia bólu przy podawaniu ręki, zmuszona była wysoko podnosić łokieć. Odtąd na długie lata taki sposób podawania ręki przyjął się w świecie i był uważany za wzór szyku i elegancji.

Król Edward VII, arbiter elegantiarum, miał wydatny brzuszek; chcąc, żeby kamizelka nie marszczyła się na nim, król odpiął jej ostatni guzik. I co państwo powiecie? Dzisiaj jeszcze spotykamy młodych elegantów, cienkich, jak tyczki, noszących ostatni guzik przy kamizelce odpięty!

R. C. H.

KOBIETA DYREKTOREM RADJOSTACJI NOWOJORSKIEJ

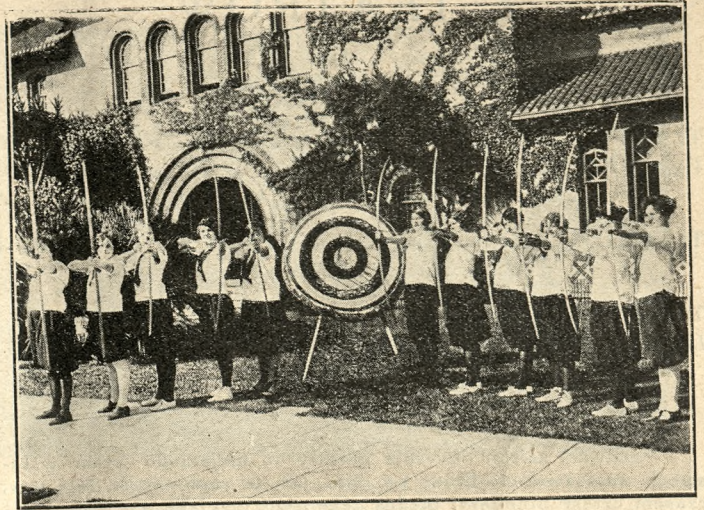
Panna Berta Brainard została mianowaną dyrektorem radjostacji nadawczej W. J. Z. w Nowym Yorku, należącej do Towarzystwa Radiocorporation of America. Pierwszym kontaktem, nawiązanym przez pannę Brainard z radjofonją wogóle, było dostarczanie stałych sprawozdań teatralnych dla stacji W. J. Z. Przy tej pracy odznaczyła się tak wybitną znajomością fachową, że wymienione Towarzystwo wybrało ją, jako reprezentantkę swej stacji w New-York City, a następnie zamianowało ją zastępczynią dyrektora. W roku ub. powołano ją na stanowisko kierownicze; jest to pierwszy wypadek, aby stacją radjofoniczną, tak wielką, jak Nowy York, kierowała kobieta. N. J.

NAJMŁODSZA LOTNICZKA

W Pittsburgu odbył się w tych dniach egzamin pilotów miejscowej szkoły lotniczej. Jeden z dyplomów ukończenia szkoły otrzymała czternastoletnia miss Lilian Dawson, uczennica 6-ej klasy miejscowego gimnazjum.

Miss Dawson nie będzie jednak miała prawa latania z pasażerami. Otrzyma je dopiero po ukończeniu 18 lat i przebyciu 450 godzin w powietrzu bez wypadku, naturalnie, jako samodzielna pilotka.

Najmłodsza lotniczka udała się po skończonym egzaminie w podróż do Europy: wiezie ona wieniec, przesłane przez lotników amerykańskich matkom Nungessera i Coliego. N. J.



Studentki amerykańskie ćwiczą się w strzelaniu z łuku

ZMIANY PRAW KOBIET W KODEKSIE AUSTRYACKIM

Kobiety austriackie interesują się b. żywo nowym projektem prawa karnego, opracowanym dla zrównania kodeksu karnego austriackiego z niemieckim.

Początkowo największe zaniepokojenie wywołał paragraf o oszustwach w małżeństwie. Jest on zredagowany niejasno, wyrazami niezbyt szczęśliwie dobranymi, i kobiety były w obawie, aby nie dał pola do komentowania go na ich niekorzyść wrznie rozwodu. Obecnie jednak prawniczki wyjaśniły, że paragraf ten nie jest straszny, zwłaszcza dla kobiet.

Brzmi on mianowicie:

„Za oszustwo w małżeństwie uważać należy złośliwe zatajenie przed drugą stroną i przed prawem wszelkich przeszkód do zawarcia związku, a także skłócenie drugiej strony do zawarcia małżeństwa kłamliwymi środkami, dającymi stronie oszukanej prawo kwestjonowania ważności związku.“

Chodzi tu więc nie o nadużycia w czasie trwania związku małżeńskiego, lecz przed jego zawarciem. Są to wszystko przestępstwa, które były oddawna przewidziane przez kodeks, umieszczano je tylko w innych paragrafach. Zdaje się też, że najzagorzalszy antifeminista nie może ukuć z nich broni przeciw kobiecie uczciwej. Nieuczciwa zaś poniesie, rzecz prosta, wrznie przestępstwa, karę taką samą, jaką w tym wypadku poniosłby mężczyzna. Bodaj jednak paragraf ten więcej mężczyzn obciąża. Jest bowiem niesłychanie rzadkim wypadkiem, aby kobieta popełniała bigamię, podawała się przed ślubem za kogo innego, ukrywała ciężkie, nieuleczalne choroby i t. p. i t. p., co właśnie stanowi owo „zatajenie przeszkód do zawarcia związku“

Gorszy daleko jest inny paragraf nowego prawa, orzekający, że „uwiedzenie kobiety przez obietnicę małżeństwa jest karane tylko w tym wypadku, jeśli uwiedziona nie skończyła lat szesnastu“. W prawie dotychczasowym nie było żadnej granicy wieku i to dawało pole do licznych nadużyć. Koła kobiece w Austrii zamierzają zaprotestować przeciw tej zmianie. Jeżeli nawet istotnie wiele awanturniczych dam, o bardzo bujnej nieraz przeszłości, wytaczało skargi o uwiedzenie drogą obietnicy małżeństwa, chcąc tym sposobem zrobić dobrą partję, lub zyskać poważne odszkodowanie, — to, z drugiej strony, nie można również wydawać 17 i 18 letnich dziewcząt na łup różnych donżuanów. Przeciwno tego rodzaju równouprawnieniu niepełnoletnich dziewcząt, kobiety protestują energicznie i zamierzają domagać się zmiany tego paragrafu, z oznaczeniem granicy wieku mian. 21 lat. N. J.

OGRANICZENIE PRAW STUDENTEK W OKS福德ZIE

Wielkie wzburzenie wywołał wśród zwolenników równouprawnienia nowy regulamin uniwersytetu oksfordzkiego. W myśl tego rozporządzenia, kobiety będą przyjmowane na wykłady w Oksfordzie tylko w liczbie, nie przekraczającej 25 procent ogółu studentów mężczyzn. Gdyby jeszcze kobiety zalewały tę uczelnię, — ale wcale tak nie jest! W ostatnich trzech latach liczba studentek wynosiła przeciętnie 930 na 4800 studentów. H. J.



Zawody tenisowe o mistrzostwo Polski w Krakowie. Mistrzyni w doebłu: Groblewska (Lwów), Jędrzejewska (Kraków)

Z TEATRÓW

TRZY PREMERY:

TEATR POLSKI: „Mandaryn Wu“, sztuka w 3 aktach *H. M. Vernona i H. Oena*. Przekład *N. Novilli*. Reżyserja *Karola Borowski*ego. Dekoracje i kostjomy *Karola Frycza*.

TEATR NARODOWY: „Niewierna“, komedia w 3 aktach *Roberta Bracco*, reżyserja *Ludwika Solskiego*.

TEATR LETNI: „Dom warjatów“, krotchwila w 3 aktach *Karola Laufsa*, reżyserja dyr. *Emila Chaberskiego*, dekoracje *Szczepana Kamińskiego*.

* * *

Dziwne, zaiste, obyczaje nastąpiły od niejakiego czasu w teatrach warszawskich. Dzień po dniu, jak na zamówienie, dają trzy, czasem cztery premjery; biedny recenzent przejada się teatrem aż do obrzydzenia, a potem co? przez cały miesiąc tłuką te same sztuki, jak w moździerzu, a kto nie jest „recydywistą“, może zapomnieć, że teatry istnieją na świecie. Taką próbę wytrzymałości wrażeń i pióra zrobiono nam w początku Wielkiego Tygodnia, — zaaplikowano nam ją teraz powtórnie na koniec wakacji, dając w trzech teatrach kolejno trzy stare, odświeżone sztuki.

Czyż z nową twórczością dramatyczną jest aż tak źle? Czy też rezerwuje się ją, jako atut niezawodny, na sezon zimowy? Czy, poprostu, dyrekcja, traktując „ogórki“, jako okres dochodowo-rozrywkowy, daje stare, wypróbowane „szlagiery“, na które publiczność pójdzie, jak mucha na lep? Może... Dość, że arcypraktyczne wskazówki pani Well, uczącej, jak ze starych, znoszonych i niemodnych sukienek tworzyć arcydzieła nowości, szyku i efektu, znalazły pełne zastosowanie w taktyce naszych teatrów. Przewrócono beczkę do góry dnem i wyciągnięto z niej nieco zmiętego, ale zaktualizowanego, dzięki ostatnim wypadkom chińskim, „Mandaryna Wu“. Dziesięć lat temu święcił w nim, podobno, zasłużone triumfy mistrz-cyzelator gry scenicznej Kamiński. Nie wszyscy, z obecnych na wznowieniu sztuki, mieli sposobność podziwiać ją w dawnej obsadzie. Mieliśmy wówczas inny teatr, w którym występowałyśmy osobiście, jako wykonawcy — z mniejszym, lub większym sukcesem, — na Bliskim i Dalekim Wschodzie. Dla wielu z nas skończył się on niemniej tragicznie, jak dla Mandaryna Wu, tylko, że zamiast filiżanki z herbatą, decydujące znaczenie miał brauning „czerwonego“ komisarza, albo nóż w ręku rabującego chłopca.

Rzecz dziwna: zestawienie tych dwu światów — chińskiego i angielskiego — obudziło we mnie zupełnie niespodziewane skojarzenia. Stara kultura, wyrafinowanie uczuć, subtelny polor towarzyski z jednej strony, — brutalność, kult groza, zupełny brak prymitywnych form — z drugiej. Aristokraci i barbarzyńcy! Gentlemani i chamstwo! Czy takie kontrasty chcieli wywołać autorzy sztuki? Wątpię; niemniej jednak rezultat jest ten, że cała nasza sympatja staje po stronie chińskiej, pomimo wyrafinowanej i okrutnej zemsty Mandaryna Wu, która mu się jednak nie udaje. Ginie wspinały przedstawiciel dostojnej rasy, ginie jego córka, wdzięczny, egzotyczny kwiat, skalany trującym podmuchem europejskiej „kultury“, a na placu zostaje triumfująca rodzina parobków „funta“, wstrętna w każdym słowie, w każdym odruchu, w każdym geście scenicznym.

Reżyserja nasza i gra p. Stomy niepotrzebnie podkreśliła te cechy jednostronnej brutalności, które mi autorzy, świadomie czy nieświadomie, obdarowali swych angielskich pupilów. Cała ta hałastra w białych kostjumach miotała się po scenie, jak zgraja ordynarnych parobków, wrzeszcząc, pieniąc się i klnąc w ataku ustawicznej furji. Nie wiem, jak zachowują się Angliki w kolonjach i faktorjach, przypuszczam jednak, że stać ich, nawet w momentach krytycznych, na kropkę przysłowiowej flegmy i szczyptę... godności.

Junosza Stępowski w roli tytułowej miał trudne zadanie do spełnienia, ze względu na rodzaj swego talentu. Umierał doskonale, z realistyczną grozą, ale w rozmowach z Gregorem przypomniał zbyt wykwintnego jezuitę, obłąkającego dzikusa z dżungli. Panna Kuncewiczówna w roli chińskiej „Butterfly“ sprawiła nam miłą niespodziankę wdziękiem, harmonją ruchów, urokiem sentymentu i starannością opracowania. Dzięki niej, cały pierwszy akt był owiany tą tajemniczą poezją Wschodu, jaką w swych prześlizgniętych, gorąco oklaskiwanych dekoracjach zamknął doskonały znawca „chińszczyzny“, Karol Frycz.

* * *

„Niewierna“ Roberta Bracco, to typ komedji salonowej z tych dawnych, dobrych czasów, kiedy się ze znajomymi paniami chodziło na „skating“, i kiedy sprawa uwiedzenia kobiety zależała od

jednego zręcznego frazesu. Ponieważ pani Cwiklińska ani rusz nie pozwala panu Różyckiemu tego zręcznego frazesu wypowiedzieć, więc przysięgły Don Juan zgrywa się, jak prowincjonalny kabotyn, a niedoszła „Niewierna“ zostaje wierną swemu prawowitemu małżonkowi tylko dlatego, że nie znalazła lepszego ponad niego kożonkowi. Jest to zatem wierność z rezygnacji, bo gdyby pan Różycki, ki był zręczniejszym, kto wie?... Jeżeli autor poskąpił mu inwencji, zato natura obdarowała go doskonałymi warunkami, jako amanta. Nikt tak znakomicie nie trzyma „fasonu“ nonszalancko-salonowego i nikt tak bez zarzutu nie nosi fraka, jak pan Różycki.

Dziwiono się trochę na widowni, że pani Cwiklińska woli Brydzińskiego. Ha, trudno! de gustibus non est disputandum... Inna rzecz, że Brydziński, w roli wiecznie zdenerwowanego, trawionego skrytą ządroszczą męża, był nieporównany. Cwiklińska po mistrzowsku doprowadzała go do pasji. Byłaby to czarująca artystka koku medjowa, gdyby nie głos. Szkoda, że na to nic poradzić nie można! ale są jeszcze inne sprawy, domagające się reformy i to radykalnej. Przedewszystkiem — charakteryzacja. Nie można, szczególnie będąc jasną blondynką, robić sobie okropnych, krwistych rumieńców tuż pod dolną powieką, jeżeli się nie chce sprawić wrażenia twarzy napuchłej od płaczu, albo rozezwienionej w ostatniej pasji, tembardziej, że rola młodej, uroczej kobiety nie wymaga bynajmniej karykatury. Następnie, jeżeli się gra kobietę z towarzysstwa, a nie z półświatka, nie można włożyć takiej sukni, jaką miała p. Cwiklińska w pierwszym akcie. Dekolt, jaki ujrzeliśmy po podniesieniu kurtyny, nie był nieprzyzwoity: — był trywjalny. Mieliśmy wrażenie kobiety, która się rozbiera, albo nie zdążyła się ubrać. Efekt typowo farsowy, którego doświadczona reżyserja nie powinna była przepuścić w komedji salonowej.

I jeszcze jedna uwaga.

Sztuka, w której cała akcja trwa pięć kwadransów, powinna być, na sposób paryski, poprzedzona jednoaktówką „pour lever du rideau“. W przeciwnym razie nadmierne przeciąganie antraktów nuży widza i osłabia wrażenie. A mamy tyle ślicznych perełek dialogu u Musseta, np. choćby jego słynna, dwa lata temu grana w paryskim Odéonie, jednoaktówka „La porte doit rester fermée ou ouverte“, doskonale pasowałaby tonem i nastrojem do „Niewiernej“

* * *

Od „Mandaryna Wu“ i „Niewiernej“ tylko krok do „Domu Warjatów“, tembardziej, że ten krok niewiele kosztuje. Wystarczy wstąpić na zabawę do przeciętnego pensjonatu, aby przy odrobini autosugestji uwierzyć, że się jest w zakładzie dla obłąkanych. Tak przynajmniej, nie bez dowcipu i pomysłowości, dowodzi nam czarowna na białem p. Karol Laufs. Dziwnego się doświadcza wrażenia, siedząc w dużym, bądź co bądź stołecznym, choć drewnianym teatrze, na sztuce, która się znakomicie nadaje na scenkę amatorską. Szczególniej akt pierwszy, z którego napróżno usiłujemy się śmiać.

Ale już akt drugi pokazuje nam, że może zrobić świetna gra aktorska ze spróchniałego grata autorskiego. Pomimo dziecięcej naiwności pomysłów, śmieliśmy się do tego. Nawet kończąca bomba z dwoma tygrysiatkami, żywcem chyba porwanymi z wystawy od Chowańczaka, czy Kowalskiego, podzielała, jak wmożona dawka gazu rozweselającego. Dopiero jednak w trzecim akcie wykonawca głównej roli p. Orwid, dał całkowity upust swemu talentowi. Otworzyły się przed nami nieprzebrane poprostu skarby komizmu: już, już, zdawało się, że skala jest wyczerpana, nie! Zjawia się przed nami nowa twarz, nowy afekt, nowy gest wirtuozeria, w każdym drgnieniu wykraczającego poza szablony.

Pan Orwid w odtwarzaniu psychologii strachu i paniki był nietylko twórczy, ale wprost natchniony. Komizm jego grozy był doprowadzony do takiego napięcia, że jeszcze włos, a stałby się tragizmem. Wierzyło się, że ten człowiek, złapany we własne siła, stoi o krok od obłąkania.

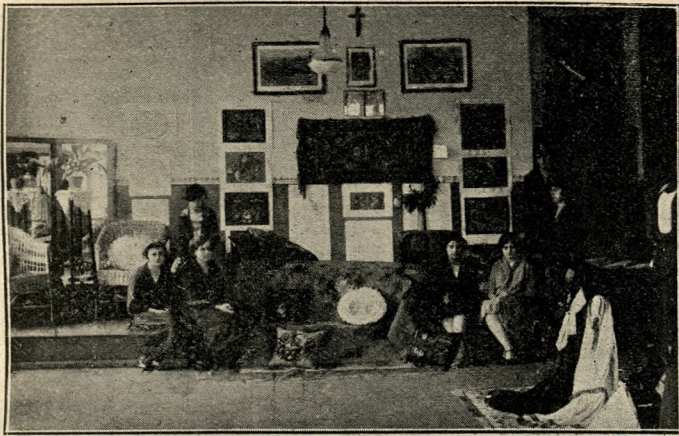
Pozostali artyści starali się, jak mogli, przełamać ciasne ramy krotochwilowego szablonu, nie wszyscy z jednakowem powodzeniem. Pani Chaveau zrobiła wyłom w tradycyjnym typie zwarjowanej literatki, która obowiązkowo musiała być chuda, zawiedła, spiczasta, z binoklami na haczykowatym nosie. Zobaczyliśmy potężną, „frontową“ jejmość z monoklem w oku, taką, o jakiej napewno nieboszczyk Zagłoba powiedziałby z uznaniem: A to Szwed babal!

Rapacki był świetnym aspirantem scenicznym, zazdrosnym o laury Demostenesa. Ponieważ w tej roli nie wymawia kilku liter, możemy go pocieszyć, że karierę na scenach warszawskich ma zapewnioną. Przywykliśmy już do tego, że artyści nasi uważają dobrą dykcję za przeżytek.

Całość szła we właściwym tempie.

Sceny kawiarniane w pierwszym akcie wyreżyserowane bez zarzutu: Szkoda, co prawda, tylu wysiłków na drugorzędną, obcą ramotę. Czyż nie dosyć mamy własnych?

Na pociechę stroskanych mateczek, które nie wiedzą, na co można swe latorośle poprowadzić do teatru, dodam, że „Dom Warjatów“ jest idealną sztuką dla młodzieży. S. P. O.



Klasa III przemysłowa



Klasa gospodarcza

SZKOLNICTWO ARTYSTYCZNO-PRZEMYSŁOWE

Szkolnictwo zawodowe jest w Polsce stosunkowo młodem zjawiskiem, rozwijającym się jednak coraz intensywniej w ciągu jej dziewięcioletniego istnienia. Bezpośredni jego zadaniem jest zastąpienie młodzieży, poświęcającej się zawodom przemysłowym i rękodzielniczym, przymusowego terminowania u majstrów i dostarczenie jej — w tym samym mniej-więcej czasie — gruntownej wiedzy fachowej, wzbogaconej o wiadomości ogólne i teoretyczne, którychby z pewnością nie nabyła poza szkołą.

Ze szkół zawodowych wychodzą — po złożeniu egzaminu — czeladnicy i czeladniczki o jednolitem, praktycznie i teoretycznie bogatym wykształceniu.

Poza bezpośrednią korzyścią, jaką z tych szkół wynosi młodzież — znacznych korzyści może oczekiwać społeczeństwo: szkolnictwo zawodowe powinno z jednej strony usunąć nadmiar inteligencji — tej inteligencji intelektualnej, która umie zarabiać wyłącznie pracą umysłową i która po skończeniu studjów, czy to uniwersyteckich, czy innych, niezawsze znajduje odpowiednią dla siebie pracę, lub też musi się godzić na pracę lichą wynagradzaną.

Z drugiej strony należy się spodziewać, że szkolnictwo to uzupełni nasz kolosalny niedobór inteligencji zawodowej, — tej mieszczańsko-rękodzielniczo-przemysłowej (a także i rolniczej), której brak fatalnie się odbija na naszym życiu ekonomicznym i kulturalnym.

Równocześnie z rozwojem szkolnictwa zawodowego obserwować możemy od szeregu lat potężny pęd do swoistego, polskiego wyrazu artystycznego, który w ostatnich czasach skryształizował się w usilnej pracy artystów i pedagogów nad polskim zdobnictwem, polskim przemysłem artystycznym.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności obydwie te prądy zjawyły się jednocześnie, obydwie te prądy wykazują ogromną żywotność, zająbiają się i przenikają nawzajem. Dziś szkoły przemysłu artyst. zaznajamiają przyszłych twórców, — a często zapewne i artystów — z materiałami i techniką różnych rzemiosł. Równocześnie szkoły zawodowe, przemysłowo-handlowe i tym podobne wyznaczają rysunkom wybitne miejsce w swych planach, ucząc — nie rysowania kwiatków, gipsów i kopjowania antyków, jak

dawniej — ale kompozycji zdobniczej, ornamentalnej, związanej z materiałem studjowanego zawodu.

Dzięki temu młodzież, stojąca dziś przy warsztatach pracy, — młodzież, która będzie w przyszłości kształtować świat otaczających nas sprzętów i rzeczy, nie będzie bezmyślnie kopjować różnych zagranicznych drukowanych wzorków — lecz będzie tworzyć samodzielnie, będzie projektów szukać u polskich artystów i rysowników (zdobników) — będzie, wreszcie, wybierać w wyborze wzorów, które dostanie do ręki.

Żyjąc w wirze dnia dzisiejszego, nie zdajemy sobie może sprawy z kolosalnego skoku naprzód, na jaki pod tym względem zdobyło się społeczeństwo polskie.

Pamiętam — i zdaje się, że nie zapomnę szybko, zdumienia, w jakie wprawiłam przed 9-ciu laty jedną znajomą, opowiadając jej, że młodzież w szkole przem. art. ćwiczy się w komponowaniu różnych przedmiotów, otaczających nas w życiu, i że, między innymi, projektuje też wzory do białego i kolorowego haftu.

„Jakto, projektuje?! zapewne przerysowujecie je z wzorków, albo układacie z kwiatków“.

„Nie, proszę pani: kwiaty stylizuje się, jako ćwiczenia rysunkowe i kolorystyczne, ale komponuje się niezależnie od wzorków, — których niewolno naśladować, — i często niezależnie od form naturalistycznych“.

Zdumienie.

„A poco, właściwie — niech mi pani powie — tracicie czas na to? Przecież są gotowe wzorki w niemieckich, francuskich, wiedeńskich „żurnalach“; wystarczy przekalkować i robić“.

Tak. Niedawno jeszcze wystarczało kalkowanie zagranicznych wzorów; wyskakiwały one, jak koboldy, z pod ziemi; przychodziły wydrukowane, gotowe; dużo osób nie zdawało sobie sprawy, że ludzka głowa je tworzy i ludzka ręka rysuje. Nikt nie myślał, że wybór takich, lub innych wzorów do haftu, do malowidła ściennego i t. p. świadczy o czyjejs głupocie, lub mądrości, o bezmyślności, lub rozumie, o charakterze, lub braku tegoż — tak samo, jak świadczy o tem pismo, ubiór, lub wnętrze mieszkania.

Wszystkie te myśli nasuwały mi się zawsze przy oglądaniu pięknych wystaw szkoły przemysłowej żeńskiej w Krakowie, przy każdej wiadomości o obsadzeniu nowej posady nauczyciela, lub nauczycielki rysunków w jakiejś szkole zawodowej. Skrystalizowały się wreszcie w artykuł przy oglądaniu fotografii z wystawy tegorocznej, urządzonej przez państwową szkołę przemysłowo-handlową żeńską w Lesznie (Wielkopolska). Dzielę się temi fotografjami z czytelniczkami „Bluszczu”, sądząc, że będą je interesować wyniki pracy tej dorastającej młodzieży i ich nauczycielki p. Ireny Gułwińskiej*).

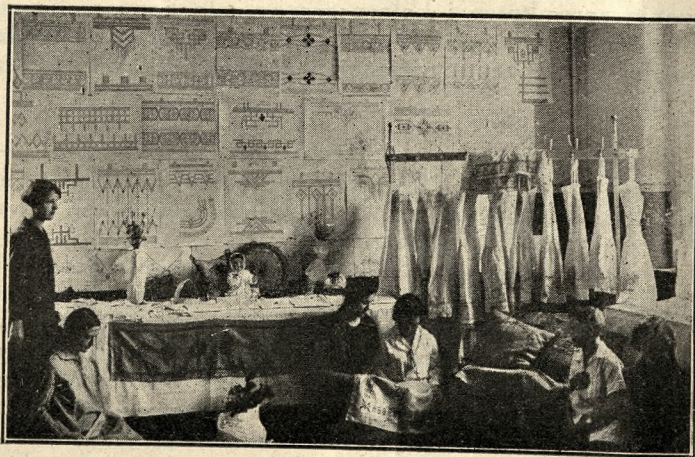
Wyniki te były źródłem wielkiej radości dla samych uczenic, uszczęśliwionych tem, że bielizna jest ozdobiona mereżkami, koronkowemi wstawkami i haftem ich własnego pomysłu, lub układu (klasa I); że sukienki i bluzki, które szyły w klasie II i III, nie są kopjami z dziennika mód, ale są bądź rysowane przez nie, bądź też „modelowane“ z bibułki na specjalnie do tego zrobionych stelażykach; że każda poduszka, makatka, aplikacja na tiulu, torebka, czy też tacka ze spodem koronkowym— była przez ich główki pomyślana, i że przy każdej ścieg, technika, sposób wykonania były do najdrobniejszych szczegółów zgóry przez nią samą zdecydowane.

W pracę tę został wciągnięta także klasa gospodarcza, która również pokazała, że potrafi niejedno zrobić dla upiększenia swego mieszkania. W styczność ze sztuką zostały wprowadzone nawet i „Kanoldy“ (robotnice z fabryki cukierków tej nazwy) na kursach dokształcających, które nie zostały jednak zaszczyconie fotografją.

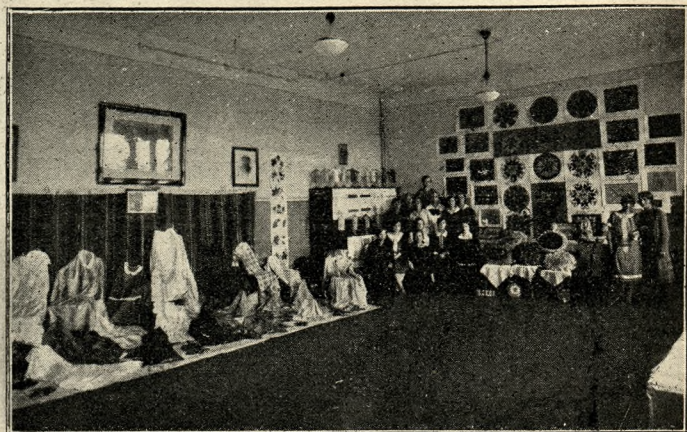
Jeśli zważymy, że między uczenicami jest wiele wieśniaczek i mieszczanek — zrozumiemy, ile nowych wartości wnoszą one w swoje otoczenie. Jako dalsze przedmioty pomocnicze w swych zawodach biorą one kostumologję i towaroznawstwo, geografję gospodarczą i rachunkowość; jest to program wspólny wszystkim szkołom tego typu.

Być może, że u większości uczenic zamrze myśl twórcza, gdy opuszczą szkołę i stracą podniecie,—jaka daje zawsze pełna energii i oddana swemu zawodowi nauczycielka.

Być może, że niejedna, — skotniawszy w tem, co ze szkoły wyniosła—zrobi się zarozumiałą i śmieszoną artystką (w swoim własnym mniemaniu). Jest



Państwowa Szkoła przemysłowo-handlowa żeńska w Lesznie w Wielkopolsce. I klasa przemysłowa



Państwowa Szkoła przemysłowo-handlowa w Lesznie. II klasa przemysłowa

rzeczą jednak niemożliwą, by praca szeregu nauczycielek i nauczycieli, prowadzona na obszarze całego państwa, nie wychowała wrażliwszego na piękno pokolenia, które wypracuje piękniejsze, a zarazem wybitnie polskie formy naszego bytu. *Marja Zawadzka.*

*) Absolwentka krakowskiej Szkoły Sztuk Zdobniczych i przemysłu artystycznego.

PSZCZOŁY

V.

Jeżeli w lecie zdarzy się długotrwała niepogoda i pszczoły nie mogą wylatywać z ula za wiatkiem, podkarmiamy świeżo osadzone roje, dając im jeden do dwóch kilogramów miodu, aby po wyczerpaniu zapasu, przyniesionego ze sobą z macierzaka, nie cierpiały głodu.

Konieczną czynnością przy starannem prowadzeniu pasieki jest przejrzenie wszystkich uli w końcu sierpnia, lub najpóźniej w pierwszej połowie września i zapewnienie im dostatecznej ilości miodu na zimę. Gdy stwierdzimy, że ul nie jest zaopatrzone należycie, dopełniamy zapasy. W okolicy, która wczesną wiosną obfituje w pożytek, wystarczy 12 kg. miodu na jeden ul; w uboższej w wiosenny wziętek — od 13 — 15 kg. Miód dodajemy nie później, jak w wyżej wymienionym terminie, co pozwala pszczołom zasklepić plasty przed zimą, a wiadomą jest rzeczą, jak niezasklepiiony miód jest dla pszczoł szkodliwy. Dodatkowy miód należy pszczołom podać w dwóch, a najwyżej trzech porcjach, aby częstem dokarmianiem nie wprowadzać w błąd matki, która łatwo wierzy, że pszczoły znoś z pola obfitość miodu, i zabiera się do składania jajeczek, co powoduje zużycie całego zapasu na wyżywienie czerwia.

Przy jesiennej rewizji uli trzeba zwrócić baczną uwagę na to, czy w których niema nadmiernej ilości miodu, możemy ją bowiem zużyć dla podkarmiania innych pni, mniej zaoprowidowanych. Jeżeli z jakichkolwiek przyczyn dodajemy pokarm pszczołom później, niż to jest wskazane, np. dopiero w październiku, trzeba zastąpić miód syropem, gdyż pszczoły nie zdą-

zą go już zasklepić, a nie zasklepiony syrop, w przeciwieństwie do miodu, jest zupełnie nieszkodliwy.

Drugi typ podkarmiania nazywamy spekulacyjnym, a to dlatego, że, stosując go umiejętnie wiosną, doprowadzamy pnie do potrzebnej siły na czas wziętku i pomagamy im do maximum wydajności, co podnosi rentowność pasieki.

Karmienie spekulacyjne zaczynamy nie wcześniej, niż w początkach maja, gdyż pszczoły na drugi dzień po niem chętniej i gromadniej wylatują za wziętkiem, co powoduje, w okresach chłodnych, masowe giniecie.

Podkarmianie spekulacyjne — wprost przeciwnie niż uzupełniające — powinno się odbywać w małych dawkach, ale codziennie bez przerwy. Tylko w przeddzień przewidywanej słaty podkarmiania zaniechać należy. Postępując w taki sposób, dajemy matce złudzenie obfitego wziętku naturalnego i podniecamy ją do składania jajeczek, co wpływa bardzo wydajnie na zasilenie pnia.

Karmienie spekulacyjne stosujemy tylko do pni, które mają swój zapas miodu i są dostatecznie silne; — pniom słabym, lub miernie zaaprowidowanym nie należy podawać na wiosnę dodatkowego, spekulacyjnego pokarmu,

Jedynie całoroczna, planowa i racjonalna robota w pasiece daje zadawalniające wyniki, to też postaram się zapoznać z nią pokrótce czytelniczki.

W ciągu pierwszych ciepłych dni, trafiających się u nas już w marcu, gdy ciepłota dochodzi, lub przekracza 10° C., pszczoły oblatują się, to znaczy opuszczają ul i oblatują go z wesołym brzękiem dokoła, aby wyzbyć się nagromadzonego w czasie zimowania w kiszce odchodowej kału. Tylko pnie, wybitnie słabe, lub matki pozbawione, nie oblatują się wcale. W tych pierwszych dniach ciepła wiosennego należy bacznie obserwować pasiekę, aby móc zorientować się należycie co do stanu pni.

Pnie, z których pszczoły wylatują masowo i oblatują się z wesołym brzękiem, zaznaczamy, jako silne. W pierwszym dniu ciepłym nie wszystkie pszczoły się ruszają, to też, chcąc zbadać, czy powodem tego jest słabość pnia, czy opieszałość jedynie, stukamy w ul i nasłuchujemy odgłosu, jaki się z niego wydobywa. Pień silny po stuknięciu obudzi się do życia; pień, pozbawiony matki, odezwie się przeciągłym wyciem, a pień głodny wydaje cichy szmer, podobny do szmeru liści. Pszczoły, pozbawione matki, po wydaniu wyżej wspomnianego odgłosu, zaczynają wychodzić opieszale z ula i rozlażą się około wylotu.

Pniom, pozbawionym matki, dodajemy takową, wstawiając ją w specjalnej klateczce, oblepionej gęstym pokarmem z miodu i cukru, tak aby pszczołom dać złudzenie, że wygryza się z matecznika. Na drugi dzień po wstawieniu klateczki z matką zaglądamy do ula, chcąc zbadać, jak się do niej pszczoły odnoszą. Jeżeli obsiadły klateczkę i wachlują skrzydełkami, to znaczy, że przyjęły ją zycziwie i zajęły się już karmieniem jej; wtedy możemy bezpiecznie wypuścić matkę do ula. W przeciwnym razie, zauważywszy wzburzenie pszczoł i wrogie ich względem dodanej matki stanowisko, pozostawiamy ją jeszcze jeden, lub dwa dni w klateczce, a pszczoły oswoją się z nią niewzvodnie. Pnie głodne podkarmiamy natychmiast, nie zwlekając ani chwili z tą czynnością, w sposób, podany już, jako sposób wiosennego podkarmiania.

O ile ciepło trwa nadal, przystępujemy na drugi dzień po zauważeniu oblatywania się pszczoł do podmiatania uli.

po otworzeniu ula należy zdjąć matę boczną, podnieść kłapę i po wykonaniu tych czynności podkurzyć pszczoły. Jeżeli odezwą się krótkim i równym szumem, znaczy to, że nie są ani głodne, ani pozbawione matki. W ulu takim zauważymy zwykle miód na plastrach i wtedy ograniczamy się do wymiecienia śmieci i spadłych pszczoł z dolnej części ula.

Pnie, tak zwane bezmatki, poprawiamy łatwo, dołączając je do słabych pni z dobrą matką. Jeżeli słaby pień posiada przy matce niewielką ilość pszczoł, przenosimy go do bezmatka; w przeciwnym razie postępujemy odwrotnie, przynosząc bezmatek do pnia z matką. Ule i znajdujące się w nich plastry po takich pniach, które nazywamy spadłymi, należy natychmiast usunąć z pasieki, aby nie przyuczać pszczoł do rabowania.

Śmieci i spadłych pszczoł, wymiecionych z dna ula, nie wolno wyrzucać w pasiece, gdyż to przyciąga mrówki, które są znane, jako najzacieklejsze szkodniki pszczoł. Mrówki, zwabione temi odpadkami, wśród których znajdują się odpadki miodu i wosku, zakładają wpobliżu mrowiska. Po podmieceniu uli, stawiamy, jak już o tem wspominałam, makę wpobliżu pasieki, jeżeli ciepło trwa nadal, a okolica jest uboga w rośliny, dostarczające pszczołom pyłku wiosennego.

Koniecznym jest zaprowadzenie kontroli uli. W tym celu numerujemy ule i zaprowadzamy specjalną książkę, w której notujemy wszelkie uwagi, dotyczące odnośnych pni.

Drugi przegląd pasieki przypada na połowę kwietnia. W dzień ciepły, gdy temperatura dochodzi do 18° C., rozbieramy gniazda, aby zorientować się w ich sile, zapasach i dobroci matki podstawowo, nie tak pobieżnie, jak mogliśmy to uczynić w czasie pierwszego przeglądu.

Do pni silnych zaliczymy te, które obsiadły do 8 plastrów woszczyzny, do średnich — obsiadające 6, a do słabych takie, które zgromadziły się zaledwie na 3, albo 4 plastrach.

Pień pierwszy i drugi sam dojdzie przed czasem wziętku do należytej siły, byleby miał odpowiednią ilość pożywienia; trzeci — potrzebuje zasilenia czerwiem. Jeżeli spotkamy pień, który nie obsiada nawet trzech plastrów, dołączamy go do innych. O ile pszczoły nie wylatywały jeszcze z powodu trwających chłódów, można je dołączyć do pnia, stojącego opodal; w przeciwnym razie nie należy przenosić ich zbyt daleko, gdyż przyzwyczajone do miejsca, łatwo zabłądzą, wracając do ula.

Teraz przychodzi też kolej na ocenę matki. Wiemy już, że dobroć matki ocenić można po planowym i jednolitem rozmieszczeniu czerwia; jeżeli czerw jest po komórkach rozstrzelony, lub w jednej komórce zauważamy po parę jajeczek, dowodzi to starości matki i należy ją zmienić. Czerw garbaty, jak nam wiadomo, jest dowodem obecności w gnieździe matki trutowki, którą należy zastąpić natychmiast inną, lub w razie braku zapasowej, zniszczyć ją, a pień taki przyłączyć do innego.

Jeżeli zauważymy, że plastry są spleśniałe, lub powalane kałem, obmywamy je delikatnie letnią wodą i wysuszamy na słońcu. Plastry, uszkodzone w jednym miejscu, doprowadzamy do porządku przez wycięcie danego miejsca i przystukowanie nowego kawałka woszczyzny. Plastry trutowe usuwamy z uli, o ile tylko część komórek trutowych zauważymy; postępujemy jak powyżej, wycinając je i zastępując pszczelemi. Siła i racjonalny rozwój pnia są ściśle zależne

od tego, aby gniazdo składało się z woszczyny pszczelej, dlatego też obowiązkiem pasiecznika jest zwrócenie na to najbaczniejszej uwagi.

Przy drugim przeglądzie oceniamy też, na oko, zapas miodu. W tym okresie każdy pień powinien mieć jeszcze około 5 kilogramów, aby mógł przetrwać do wziętku. Kto nie jest pewien, czy orientuje się należycie, może zważyć plastry zapomocą wagi sprężynowej, zawieszając ramki na haczyku i odliczając na ramkę i woszczynę mniej-więcej 300 gramów.

Drugiemu przeglądowi towarzyszy też dokładne wyczyszczenie uli, które uskuteczniamy specjalną skrobaczką, usuwając plastry w głąb ula i zostawiając wszystko w dawnym składzie i porządku przed okryciem gniazda poduszkami. Gdy zauważymy, że rodzina pszczela rozwija się normalnie i czerw zajmuje większą część plastrów, obowiązkiem naszym jest dodanie pszczołom takowych, aby zapobiec budowaniu pod ramkami. Plastry dajemy po jednym i umieszczamy je na samym brzegu, lub między pierwszym, a drugim.

Jeżeli okolica obfituje we wczesne rośliny miododajne, trzeba dodawać więcej plastrów gotowej woszczyny, aby umożliwić pszczołom składanie miodu.

Jeżeli chcemy poprzestać na dotychczasowej ilości uli i dążymy ku osiągnięciu jak największej ilości miodu, a nie ku powiększeniu pasieki — puste plastry wstawiamy tak, aby oddzielone były od plastrów z czerwem chociaż jednym plastrem miodu; dążąc do powiększenia pasieki, wstawiamy woszczynę przy plastrach z czerwem, a tem samem pobudzamy matkę do składania jak największej ilości jajeczek.

Chcąc zapobiec rójce, staramy się wytworzyć pszczołom warunki, sprzyjające intensywnej pracy. Pobudzamy je zatem do budowania komórek i dbamy o to, aby nie było w ulach zbyt gorąco, gdyż jest faktem dowiedzionym, że w zbyt wysokiej temperaturze pszczoły niejednokrotnie zaprzestają zupełnie pracy.

W tym celu w czasie silnych upałów unosimy daszek ula, otwieramy klapki, a od strony południowej, w braku odpowiedniego ocienienia, nakrywamy ule matami.

(d. n.)

W. D.

UTRZYMANIE MIESZKANIA W PORZĄDKU

Meble. Stoły lakierowane są nieraz poplamione syropami, likierem, limonjadą; jeśli te brzydkie plamy nie dają się zmyć zwykłą wodą, trzeba użyć otrąb, lub fusów od kawy. — Należy dobrze wytrzeć miękką ściereczką, aby nie porysować. Nafta czyści też dobrze meble lakierowane. Białe plamy, które występują często na powierzchni lakierowanej, znikają, jeśli będziemy trzymać nad nimi ciepły talerz.

Gdy się utworzy skutek uderzenia małe wklęsnięcie, trzeba je przykryć zmoczoną brunatnym papierem, pięć lub sześć razy złożonym, a nad tym papierem trzymać jakiś czas gorące żelazko, dopóki nie wyschnie. Jeśli wklęsnięcie nie zniknie, należy powtórzyć. Po dwóch, lub trzech takich zabiegach wklęsnięcie wyrównane zostanie. Gdy jest mało głębokie, wystarczy zmoczyć je wodą ciepłą i bardzo blisko trzymać rozpalone żelazko. Wklęsnięcie musi być wilgotne przez kilka minut i wciąż pod działaniem gorącego żelazka. — Aby zniszczyć robaki drzewne, doskonale są przemywania karbolem.

Meble lakierowane muszą być wycierane miękkim gałgankiem. Najlepiej na ten użytek zachować fulary, nie mogące już służyć jako ubranie.

Utrzymanie posadzek. Przed natarciem masą posadзки, należy ją bardzo starannie wymyć, a potem dać wyschnąć. Poczem naciera się następującą mieszaniną: Wosk należy pokrajać w wążutkie paski, wrzucić do garnka i całkowicie zalać terpentyną. — Niech zostanie w ten sposób przez całą noc. Nazajutrz masa jest gotowa. Bierze się potem tę masę wełnianym gałgankiem i rozprowadza po podłodze. Gdy masa jest sucha, szczotką wyciera się posadzkę.

Aby zachować połysk, każdego ranka trzeba ją wycierać kawałkiem sukna, maczanym w nafcie, a dwa razy tygodniowo, szczotką w kierunku słoju drzewa.

Gdy posadzka jest poplamiona tłuszczem, należy silnie napuścić płamę terpentyną, potem sproszkowanym talkiem. Nad talkiem trzyma się przez kilka chwil żelazko do prasowania dość gorące. Potem znowu maścią posmarować miejsce oczyszczone.

Krzesła ze skóry i krzesła drewniane. Aby odświeżyć skórę krzesel i innych mebli lub przedmiotów, trzeba je wytrzeć białkiem od jajka, dobrze ubitem. Krzesła drewniane czyszczą się w ten sposób: najpierw okurza się je doskonale, potem myje się siedzenie wodą ciepłą, ale pod spodem. Krzesła wyprostują się po wysuszeniu ich na powietrzu i słońcu — należy wybrać dzień bardzo słoneczny. — W ten sposób nada się im trwałość; będą służyć dłużej i wyglądać, jak nowe.

Dywany. Jest rzeczą niezaprzeczoną, że dywany nadają mieszkaniom wygląd bardziej komfortowy i elegancki. Ale jednocześnie przyznać trzeba, że są bardzo kosztowne, o ile się chce utrzymać je w porządku, zwłaszcza, gdy są piękne.

Dużo osób nie poprzestaje na tem, aby je prosto i zwyczajnie zamieść. Dla dokładnego wyczyszczenia, potrzebne są niektóre substancje, które odświeżają kolory i oczyszczają z plam. Niektórzy posypują je mąką pszenną i solą, które następnie czyszczą się dokładnie.

Inni najpierw zamiatają dywan, potem wycierają czystym gałgankiem, umaczanym w słonej wodzie.

KOMPLETY TKACTWA RĘCZNEGO ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ
WSPÓŁPRACOWNICZKĘ DZIAŁU
ROBÓT W „BLUSZCZU“

INFORMACJE TELEFONICZNE

DO G. 10-ej RANO I OD 3 DO 5 PP. TEL. 273-34.

Dywany czyszczą się dobrze, gdy są posypane miękkimi kawałkami papieru, drobno pociętymi. Cała przestrzeń powinna być niemi pokryta. O ile są delikatne, należy papierki zmoczyć, przy grubszych—mogą być suche.

Wilgotne listki herbaty są też wskazane, ale wtedy tylko, gdy dywan nie ma kolorów jasnych.

Lepszymi są otręby. Muszą być wymoczone w zimnej wodzie przez pół godziny. Potem wyciska się je, aż dopóki nie są zupełnie prawie suche. Posypuje się niemi dywan i zmiata. Amonjak też przywraca pierwotny kolor. Trzeba użyć zwykłą łyżkę na cztery litry wody.

Tłuszcz z dywanów usuwa się zapomocą mieszaniny magnezji palonej z benzyną, roztartej na płomie. Dać wyschnąć, a potem szcztokować. Operację tę należy powtarzać kilka razy, dopóki plama nie zniknie. Gdy dywan trzeba wymyć, to go najprzód doskonale się trzepie. Potem rozciąga się silnie. Należy mieć w pogotowiu mieszaninę, złożoną z żółci cielejącej i z czterech litrów wody zimnej. Macza się flanelę w tej mieszaninie i doskonale wyciera dywan. Przed położeniem dywanu, należy dokładnie wymyć posadzkę, pozwolić jej wyschnąć. Potem dopiero kładzie się dywan, nie pozwalając chodzić, zanim nie wyschnie. Dużo osób wsuwa gazety razem złożone pomiędzy posadzkę a dywan. Wobec dywanu z linoleum jest to konieczne dla uniknięcia przyłgnięcia. Gazety chronią bardzo wełniane dywany od zniszczenia. Gdy się opuszcza dom na czas dłuższy, dywany są wystawione na wielkie niebezpieczeństwo z racji moli i innych owadów. Aby je uchronić przed temi szkodnikami, należy przygotować następującą miksturę: trzy litry wody czystej i trzy łyżeczki terpentyny. Trzeba dobrze zamieść dywan, gąbkę umaczać w tej mieszaninie, nieco ją wycisnąć i cały dywan nią zmazać. Gdy tylko woda jest zbrukana, trzeba przygotować nową. Ta operacja zadziwiająco oczyszcza dywany, dezynfekuje je, nie mówiąc już o zapobiegawczym działaniu terpentyny.

Firanki, portjery, w razie długiej nieobecności, powinny być zdjęte, wyszczotkowane, złożone. Między fałdy firanek i wełnianych tkanin, dobrze jest wsunąć małe saszetki z naftaliną, kamforą w dużych kawałach, gdyż proszek szybko traci zapach, z pierzem tureckim, a nawet skórka cytrynową i rumiankiem. Cedrowe pudełko, napełnione opilkami z tegoż drzewa, pudełka, które zawierały tytoń, wyborne są dla ochronienia tkanin i ubrań wełnianych. — Rozcieńczony karbol jest również dobry dla przedmiotów, które mogą być moczone bez szkody.

W czasie zwiyczajnym, mole i owady znikają z firanek i tkanin szcztokowanych, poruszanych często.

Dywaniki z linoleum i ceraty. Dla utrzymania ich w porządku należy je czyścić kawałkiem wełny, sukna, lub flaneli, albo jakimś trykotem. Będą trwałe i dłużej zachowają połysk.

Dla obmycia cerat, trzeba używać poprostu wody ciepłej, lub wody z mlekiem, lecz nigdy szcztok, ani mydła. Myć trzeba flanelą czystą, a wycierać suchą flanelą, lub wełną.

Lustra i szyby. Aby oczyścić lustra i szyby, jest kilka sposobów równie dobrych:

1). Sproszkujcie mały kawałek indygo, umaczajcie w niem miękką ściereczkę. Wytrzyjcie lustra i szyby, a potem je zmyjcie.

2). Czyści się także lustra i szyby naftą. Muchy wówczas nie siadają.

3). Do szyb trzeba używać wilgotnej flaneli, która straciła wszelką sztywność. Wycierać trzeba bardzo miękką ściereczką. — Nie używać nigdy płótna do szyb i luster, gdyż zostawia szramy.

4). Gąbka jest środkiem doskonałym. Wycierać potem starymi gazetami dla połysku.

5). Amonjak czyści doskonale szkła. Wystarczy dwie, lub trzy łyżki na wiadro wody.

6). Bardzo dobrą jest również kreda, rozpuszczona w wodzie, a także spirytus.

7). Gdy szyba splamiona tłustymi plamami, które znikają z trudem, to najlepiej działa sok z cebuli.

Wszelkie ramy okienne, ozdobne lub nie, i ramy luster powinny być doskonale oczyszczone z kurzu, zanim się zacznie myć szkło. Zresztą w domu, porządnie utrzymanym, kurz ten codziennie jest oczyszczany ściereczką, a co tydzień lub dwa pendzlem lub szcztoką. — Po sezonie much, po paleniu w piecach, boazerje malowane okien potrzebują gruntownego mycia.

(dokończenie nastąpi)



ZAPASY W GOSPODARSTWIE MIEJSKIEM

Całe szeregi gospodyń, i to gospodyń wytrawnych, kwestjonują celowość robienia większych zapasów spiżarnianych w mieście, twierdząc, że najlepiej, najzdrowiej i najtaniej jest nabywać codziennie wszystkie produkty z rynku i ze sklepów, że duże zapasy nieraz się psują, że, mając czegoś więcej w domu, więcej się też tego czegoś używa, i t. p. Nie można tutaj stosować jednej i tej samej zasady, jednej i tej samej normy do każdego rodzaju produktów, zapasów, a nawet do poszczególnych gospodarstw i domów. Chyba jest od dawna dowiedzionem, i nie ma co o to kopii kruszyć, że wszelkie suche zapasy, produkty niepsujące się: mąki i kasze, kawa i herbata, cukier i korzenie itp. itp., nietylko taniej wypadają gdy są kupowane w większych ilościach, lecz jeszcze i oszczędniej się ich używa. Przypuśćmy, że potrzebujemy ryżu do potrawki: jeżeli go mamy w domu, dajemy go szklanek na 5 osób, to jest około 20 deka, co jest zupełnie dostatecznem; jeśli posłemy po ćwierć kilo ryżu, do wagi się włączy grubą kartonową torebkę, i użyje się całe 25 deka, gdyż co robić z temi dwiema pozostałemi łyżkami? to samo ma miejsce z mąką, cukrem i t. p. Służące oczywiście, bardzo lubią te drobne zakupy,—po pięć i po dziesięć deka: daje to szerokie pole do drobnych malwersacyj i pretekst do długich wędrówek po mieście i konferencyj w sklepikach. Powinno być rzeczą raz nazawsze ustaloną, że suche produkta kupuje się co miesiąc, lub nawet, jeśli środki na to pozwalają, co kwartał, i wydaje w miarę potrzeby. Co do tłuszczów, należy zachować pewne ostrożności. Jeśli mamy zimną, a suchą piwnicę, można zrobić eksperyment solenia większych zapasów masła; w przeciwnym razie możemy, co najwyżej, przyrzadzić, już w końcu lata, masło topione w garnkach kamiennych,

i to w ilościach niezbyt dużych, gdyż ani na chwilę nie wolno zapominać, że tylko świeże masło jest strawne, — topiona słonina, dobry szmalec, oliwa, a nawet dobra frytura są strawniejsze od nieświeżego masła. Szmalec, czy to w domu przetopiony, czy też gotowy kupiony, (który też należy przetopić), złany w kamienne garnki, może w suchej śpiżarni przestać zimą całą. Słonina solona może stać parę miesięcy; wędzona, — ale tak wędzona, jak się to robi na Litwie i na Kresach, to jest dni 10 conajmniej w zupełnie zimnym dymie, — przetrwa, powieszona w suchym miejscu, rok cały. Jest rzeczą każdej gospodyni określić bliżej, ile czego w jej domu w pewnym okresie czasu się zużywa, i tylko taką ilość nabyć i przechować, aby się nic nie pozostało i nie zepsuło. Jeśli przez rok jeden będziemy dokładnie ekspens każdego produktu notowały, będziemy miały nieomyłne wskazówki na następne lata.

Wbrew utartym zwyczajom, nie uważam, aby robienie zapasu kartofli, włoszczyzny, kiszzonej kapusty i ogórków w każdym gospodarstwie było wskazaniem. Jest to dobre tylko w bardzo dużych gospodarstwach, pensjonatach, restauracjach, licznych rodzinach. Są to produkty łatwo podlegające zepsuciu. Jeżeli obliczymy, ile przez zimę kartofli i innych jarzyn nam zgnije lub przemarznie i zostanie wyrzucone, ile kapusty zmarnuje się przy ciągłym oczyszczaniu brzegów beczki i denka, ile ogórków zmięknie, — to w niedużym gospodarstwie, od 2—5 osób, zawsze taniej wypadnie potrzebne rzeczywiście ilości kupić, — nawet wiosną, kiedy cena na nie podskoczy. Grzyby suszone są towarem sezonowym; zawsze lepiej kupić parę, lub kilka wianków jesienią, gdyż w poście cena ich normalnie się podwaja, a miejsca, powieszzone gdzieś na gwoździu w rogu szafy, lub śpiżarni, nie zajmują prawie wcale. Tylko niech was Bóg strzeże od suszenia grzybów, kupionych na świeżo: taki susz byłby tak kosztowny, że gotowych za tę cenę możnaby nabyć dziesięciokrotnie większą ilość. Co do delikatniejszych jarzyn, — groszku i fasoli, kalafjorów i szparagów, pomidorów ect. ect., to należy każdą z nich traktować indywidualnie. Groszek prawie zawsze jest pewniej i taniej kupić gotowy w blaszankach. Fasolę, o ile niedroga, a mamy dużo konserwatorów i aparat Weck'a, możemy przyrządzić w domu: kalafjory są grymaśne i rzadko się udają, a szparagi, nie wprost z grędy wycięte, nigdy nie będą dobre. Pomidory, o ile obrodzą i są tanie, opłaci się zrobić w butelkach, — naturalnie w ilościach, mogących być rzeczywiście zużyte do świeżego zbioru. Cebulę, kupioną w większej ilości, można w siatce powiesić w suchym, zimnym korytarzu, a przetrwa do nowej. Wszelkie grzybki, marynowane w occie i oliwie, sałaty octowe, korniszony i pikle, należy robić tylko tam, gdzie są one używane bądź przez domowników, bądź przez gości: przyrządzone w domu, kosztują ćwierć tego, co kupione w sklepie, lecz jeśli mają zmarnować się, nieużyte, lepiej nie tracić czasu i pieniędzy na ich wyrób. Pozostają konserwy owocowe. Jeżeli używamy dużo kompotów, — co teraz coraz bardziej staje się powszechnem, — należy się zaoptażyć w konserwy w Weckach: parę łyżek śliwek lub czereśni, truskawek, lub melona, dodane do kompotu ze świeżych, lub suszonych jabłek, dodaje aromatu i smaku, robi go bardziej wykwiutnym. Kompot w szkle, otwarty, zimą może stać parę tygodni; kupiony w blaszance, — po paru dniach kwaśniej i jest nie do użycia.

Konfitury, a szczególnie „jam'y“, jako mniej słodkie, są koniecznie potrzebne w domach, gdzie są dzieci: zastępują one wszelkie kupne cukierki, marmeladki, karmelki i t. p., są od nich o połowę, i więcej nawet, tańsze, a nieobliczoną ilość razy zdrowsze. Chyba najleniwsza gospodyni nie będzie utrzymywała, że należy używać konfitury kupne, chociażby dlatego, że kupne, choć przeważnie dużo ładniejsze, są jednak zawsze mniej smaczne. Może dlatego, że wyrosłam na wsi, i to na Kresach, gdzie dwór każdy żył pod hasłem zupełnej prawie samowystarczalności, — nie mając pełnej śpiżarni, miałabym zawsze wrażenie grożącego mi w najbliższym czasie głodu, już nie mówiąc o niepokoju, czy wszystko kazałam kupić na dany dzień i czy nie trzeba będzie jeszcze po coś posyłać służącej w ostatniej chwili.

Pani Elżbieta.



ZUPA Z DYNI

Pół kilo pomarańczowej dyni bez skórki i ziarenek, pokrajać w grubą kostkę, włożyć w rondel z kawałkiem dobrego masła, zalać wodą, aby tylko objęło, przykryć pokrywą i dusić na wolnym ogniu aż się zupełnie rozgotuje. Oddzielnie ugotować w dzień mięsny półtora litra rosolu z 75 deka kostek wołowych, cielęcych, lub wieprzowych i zwykłej włoszczyzny, t. j. dużej marchwi, średniej pietruszki, pora, cebuli i kawałka niedużego selera.

Dynię przetrzeć przez sito, zasmażyć łyżkę masła z łyżką mąki, dodać dynię, rozprowadzić rosół, zagotować, dodać soli do smaku; kto lubi zupełnie ostrzejszą, może dodać odrobinę białego pieprzu, kto bardziej aromatyczną, — trochę gałki muszkatołowej. W wazie należy przygotować dwa żółtka, rozbite z pół szklanką kwaśnej, lub słodkiej śmietany, i łyżeczkę usiekanego koperku. Wlać narazie tylko trochę zupy, wymieszać, potem dodać resztę, aby się od wrzącej zupy żółtka nie zwały.

Oddzielnie podać drobne grzaneczki, przysmażone na masle. Jest to wyborna zupa, nic wspólnego z okropną „harbuzianką“ z ryżem i mlekiem nie mająca. W dniu postne należy ją przyrządzać na smaku jarzynowym: jest również dobra i posilna.

LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW podług przepisu Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Jajeczka do mycia włosów. Płyn do włosów. „Mój puder higieniczny“ we wszystkich odcieniach. Perełki białe i różowe do pielęgnacji cery i biustu. „Mój krem“ (w tubkach). Krem do rąk. Galaretka na łojotok Nr 1 i 2. Krem na opaleniznę. Mydło cytrynowe, poziome i liliowe. Nowość sezonu: Krem poziomy (udelikatniający). Krem cytrynowy (wybielający).

UWAGA: dla dzieci krem, puder i mydło ziołowe.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

ZRAZIKI BARANIE

Kilo baraniny z pieczeni, bez kości, pokrajać na dziesięć ładnych zrazików, zbić mocno, dać tak poleżeć parę godzin, aby się w smażeniu nie kurczyły; posolić, popieprzyć, zrumienić z obu stron na maśle, poczem wraz z sosem przełożyć do płaskiego rondla, włożyć ćwierć kilo oczyszczonych szalotek, kilka pokrajanych pieczarek, lub grzybów prawdziwych, trzy świeże pomidory, pokrajane na ćwiartki, lub dwie łyżki konserwy pomidorowej; wlać pół szlanki wina (może być owocowe), i tyleż dobrego rosołu, lub wody, i kawałek suchego buljonu, rozmiaru orzecha włoskiego; dusić pod pokrywą dobrą godzinę. Podawać z puré kartoflanem, lub ryżem, ugotowanym na sypko. Gdyby sos się nadto wydusił, dolać rosołu, lub wody, zagotować raz i polać nim ryż, lub kartofle.

POTRAWKA Z BARANINY Z OGÓRKAMI

Kilo baraniny od łopatki, mostku, lub górki ugotować z włoszczyzną na rosół. Kto lubi ten zapach, może, przed ugotowaniem, natrzeć baraninę czosnkiem; jednak wtedy należy ją gotować w krótkim sosie, gdyż smak ten na zupełną się nie nada.

Trzy, przed tygodniem zasolone ogórki, obrać z łupinek, pokrajać w talarki; gdy baranina już miękka, pokrajać ją w zgrabne kawałki, dodać ogórki i tyle rosołu, aby tylko objęło; gotować tak, aż ogórki zmiękną. Przyprószyć mąką, zalać kwaterką śmietany, wysypać łyżeczkę cukru, garstkę zielonego koperku, zagotować raz tylko i obłożyć tą baraniną ryż, ugotowany na sypko. Sos wraz z ogórkami wylać na ryż,

GRUSZKI W MIODZIE

Gruszki twardego gatunku obrać i wrzucić w wodę, zaprawioną kwaskiem, aby nie szerniały. Łupinek nie wyrzucać, tylko zalać, po opłókanu poprzedniem zimną wodą i gotować, aż się zupełnie rozgotują, wycisnąć i przecedzić przez flanelowy worek. Na litr takiego smaku z łupin (proporcja na 2 kilo obranych już gruszek) wziąć kilo cukru i kilo miodu. Miód może być pośledniejszego gatunku, otrzymany przy wytapianiu wosku. Zagotować syrop, wrzucić weń gruszki, pogotować kwadrans, zdjąć z ognia, pozostawić tak w syropie do dnia następnego.

Nazajutrz, syrop zlać, gotować kwadrans od chwili zagotowania bez gruszek, wrzucić gruszki, gotować znowu kwadrans, od chwili zagotowania z gruszkami, Na trzeci dzień powtórzyć to samo, tylko włożyć laskę cynamonu i 6 goździków. Teraz już gotować gruszki na wolnym ogniu, aż zupełnie, nawet po przekrajaniu, będą złoto-brunatnego koloru, a syrop zacznie gęstnieć. Na każde kilo konfitur dodać pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody, co szczególnie jest potrzebne ze względu na to, że gruszki w miodzie mają specjalną skłonność do fermentowania.

OGÓRKI FASZEROWANE

Pozostałe od obiadu resztki kury, cielęciny, wieprzowiny, lub ryby, można użyć na tę smaczną potrawę. 250 grm. (ćwierć kilo) któregokolwiek z tych mięs, lub ryby, oczyszczone ze skórek, luk ości, prze-

puścić przez maszynkę, potem tłuc w moździerzu, aż się zmasuje zupełnie.

Zasmażyć na biało łyżkę mąki z łyżką masła, rozprowadzić szklanką śmietanki, lub dobrego mleka, ostudzić; mieszać z masą mięsną, osolić do smaku; dodać, kto lubi, muszkatołowej gałki, i dwa całe jajka, wyrobić, aby było jak dobry krem. Wybrać sześć największych ogórków świeżo solonych, lub kwaszonych, byle twardych i mięsistych. Przekrajać w połowie długości, wybrać ostrożnie ziarenka, obrać delikatnie skórkę, napełnić kremem.

Wybrać odpowiedniego rozmiaru rondelki, włożyć weń łyżkę masła, ustawić ogórki, aby się nie ruszały; zalać rosołem, nakryć pokrywą, postawić na wolnym ogniu. Gotować, aż ogórki zmiękną, a masą krem się zetnie dobrze. Przełożyć na półmisek, obłożyć wkoło mięsnymi kotletami, rybą smażoną, lub wprost grzankami przysmażanymi z bułki. Polać sosem, który się uformował; — kto lubi sos gęsty, może go zaprawić mąką i zagotować, dodać parę łyżek śmietany i trochę zielonego koperku.

SZCZAW W BUTELKACH

Jesienią, gdy szczaw łąkowy i ogrodowy powtórnie wypuszcza młode liście, należy zrobić zapas tej jarzyny na zimę. Starannie przebrane listki trzeba wypłókać w czystej wodzie, otrząsnąć z niej w drucianym koszyku, lub płótnie, rozsypać jak najcieniej na stołach, lub prześcieradłach w cieniu, aby wszelka wilgoć obeschła. Przepuścić przez maszynkę, lub lepiej usiekać drobno tasakiem i napełniać jak najszczelniej nieduże butelki. Zakorkować, odrutować, lub obwiązać szpagatem; wstawić w kociołek, podkładając pod butelki warstwę siana i takiemże sianem zapełniając przestrzeń między niemi. Zalać wodą aż po szyjki, zagotować. Gotować, od chwili zagotowania, 20 — 30 minut, zależnie od rozmiaru butelek. Odstawić, wyjmować dopiero gdy ostygną, aby nie popękały. Szyjki butelek osmolić, lub zamoczyć w parafinie.

Solić szczawiu nie należy wcale, gdyż odbiera to miły kwasek i psuje smak szczawiu, — osoli się zupełnie, lub jarzynę przy gotowaniu.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Wanny emaljowane czyści się mieszaniną szarego mydła z piaskiem, rozrobioną wodą gorącą, płótcze—zimną. Wanny z cynkowej blachy czyści się ciastem, zarobionem z kredy ze spirytusem: natrzeć niem wannę, zostawić do wyschnięcia, wycierać szczotką, a następnie kawałkiem miękkiej flaneli — będzie się lśniła, jak nowa.

* * *

Jeżeli nie możemy zapomocą zapalki dojść, w którym miejscu rurka gumowa przy gazowej kuchence jest uszkodzona, trzeba użyć następującego sposobu: posmarować rurkę gęsto rozrobioną wodą mydlaną i zapalić gaz: w miejscach, któremi gaz się ulatnia, ukazywać się będą duże bańki.

KORESPONDENCJE

Do Sz. Prenumeratorek „Bluszczu“. Redakcja „Bluszczu“ zawiadamia, że z wszelkiego rodzaju porad, nie wyłączając kosmetyki, będą mogły korzystać wyłącznie prenumeratorki „Bluszczu“. Wobec tego prosimy uprzejmie Sz. Panie o podawanie swych adresów na listach, kierowanych do nas z wszelkiego rodzaju zapytaniami.

Pani E. M. Białystok. Kursy farmaceutyczne są przy każdym uniwersytecie. Wymagane warunki: pełna matura.

Pani M. B. Łazy. Aby chustka była elegancka, trzeba wyhaftować, albo lepiej jeszcze wymalować ją farbami do prania, profesora Buszka. Frendzla z kordonku jedwabnego, nie z lacet, im dłuższa, tem strojnieszka. Co do rysunków, często podawaliśmy takowe w „Bluszczu“; postaramy się wkrótce zamieścić je znowu. Przed zimą, tak aby czytelniczki nasze mogły zużytkować dane modele na karnawał. wyjdzie zeszyt „Najmodniejszych robót“ z wzorami szali jedwabnych, gazowych i innych, podający również sposoby ozdabiania takowych. Co do wina—to przepis podany jest według najświeższych sposobów fabrykacji.

Pani A. R. Peczeniżyn. Jest to ogólna właściwość rośliny, o której Sz. Pani wspomina, że ma zawsze tylko trzy liście; arun który Sz. Pani widziała na fotografii, najlepszym jest dowodem, że to okaz niezwykły, skoro go fotografują. Sądzę, że tylko rada zdolnego i doświadczzonego ogrodnika pomogłaby w wyprodukowaniu okazu o dużej ilości liści. — Co do powidełek z jagód dzikiego bzu, jest to produkt przeważnie leczniczy; sądzą, że wskazówek co do przyrządzania takich powidełek, udzieliłby najlepiej jakiś znajomy aptekarz, albo nabyłoby je można własnym doświadczeniem, próbując smażenia na małych ilościach jagód. — Wsyпки zapierać natychmiast po powalaniu ostrą szczotką ciepłą wodą mydlaną; po wypraniu spłókać czystą wodą i dobrze wysuszyć na słońcu. Jeżeli plam jest wiele, wysypać pierze, a wysypkę wyprać zwyczajnie; po wysuszeniu umaglować, uprasować i napęlić przebranem i oczyszczonym pierzem. Plamy z każdego atramentu trzeba czyścić natychmiast. Należy je spierać wodą mydlaną i płókać w obfitej wodzie. Wszelkie kwasy, a przedewszystkiem cytryna, wywabiają doskonale atrament. Trzeba tylko uważać, aby nie wygryzły koloru; na to niema reguły, jedynie inteligencja i uwaga osoby, wykonywującej tę pracę, może tu dać dodatnie rezultaty. Radzę próbować wszelkich środków na małym kawałku.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Pani Ewelinie. Jeśli Pani morza nie znosi, to lepiej jest w podgórskiej miejscowości spędzić lato. Co do niedomagań przewodu pokarmowego u Pani, doskonale reguluje kefir trzydniowy. Można sobie w domu samej sproparować, kupując jedynie tabletki kefirowe.

Stroskanej Matce. Skrzywienie kręgosłupa u córeczki doskonale wyrówna gimnastyka, oraz masaż leczniczy; na noc proszę nacierać wodą z solą (łyżka soli ciechocińskiej na szklankę wody

o temp. pokojowej). Proszę się nie martwić, bo stan Pani zdrowia zmartwienia i troski mogą tylko pogorszyć.

Niestety, panią w wieku szkolnym b. często ulegają tej przykryj dolegliwości; odpowiednimi środkami, stosowanymi systematycznie, skrzywienie zupełnie się wyrównuje.

Zropaczonej. Naturalnie nos odgrywa bardzo ważną rolę w estetyce twarzy człowieka. Kształt nosa u dorosłej kobiety da się do pewnego stopnia poprawić odpowiednim masażem. Zabieg chirurgiczny oddaje nieocenione pod tym względem usługi.

Wszelkie maszynki uciskowe do poprawiania nosa nie dają absolutnie żadnego efektu. Na zabieg operacyjny muszą się zdecydować panie z bardzo wybitnymi znamionami nieestetycznymi.

Halinie C. Z. Cierpienie Pani z opisu robi wrażenie bardzo poważnego schorzenia... konieczne jest jaknajszysze udanie się do lekarza chorób kobiecych. Tego rodzaju objawy nie leczy się środkami domowymi, gdyż choroba zaniedbana daje bardzo poważne następstwa. Każda kobieta, zwłaszcza matka, mająca małe dzieci, powinna dbać nietylko o zdrowie dzieci, lecz i swoje własne. Choroba matki w swych skutkach najczęściej pociąga choroby dzieci.

Dla K. Koło Baranowicz. Przeczytać pielęgnację włosów.

Czytelniczce z Augustowa. Zapisy do szkoły kosmetycznej skierowywać proszę do Dr. Marty Biernackiej—ul. Koszykowa 39 m. 2 „Pierwsza Szkoła Kosmetyczna“. Zaznaczyć w podaniu obok nazwiska: Prenumeratorka „Bluszczu“, lub „Kultury Ciała“.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dzieciinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

„Potrawy i konserwy z grzybów“

SPOSOBY UŻYTKOWANIA POSPOLITYCH I MNIEJ ZNANYCH GRZYBÓW

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

„Co trzeba wiedzieć o grzybach“

WIADOMOŚCI, NIEODZOWNE DLA KAŻDEGO AMATORA GRZYBÓW

CENA 1 zł 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.